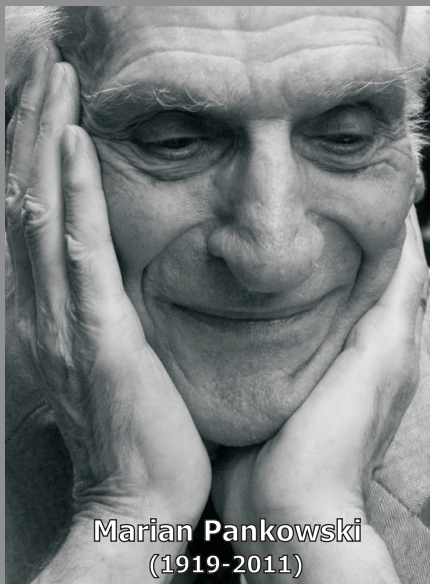




Marian Pankowski
(1919-2011)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 11(195) Żelów, listopad 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Ze mną było trochę inaczej – wywiad
z Joanną Machą

Wiersze: Daniela Czepińskiego, Kazimie-
rza Ivosse, Tadeusza Koneckiego, Waldema-
ra Michalskiego, Janusza Orlikowskiego,
Aleksandry Pijanowskiej-Adamczyk,
Kacpra Płusy, Marii Magdaleny Pogaj,
Gitty Rutledge, Wiesławy Siemaszko-
Zielińskiej, Ewy Żak

Andrzej Dębkowski – *WJP i inne...*

Leszek Żuliński – *Zgoda na gorycz*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Cyrk i teatr*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Kaprys, który
poszukuje prawdy*

Kazimierz Ivosse – *Chodźcie z nami,
dziś nie biją!*

Igor Wieczorek – *Tajemnica istnienia*

Andrzej Bartyński – *Na kremowym liściu
kartki*

prof. Bolesław Faron – *Spotkania
z Marianem Pankowskim*

Andrzej Gnarowski – *Radość doskonałości*

Lech Konopiński – *Fraszkipis z Konopi*

Elżbieta Eremus – *Salonowa miłość
w twórczości Celiny Gładkowskiej*

Barbara Tylman – *Do trzech razy sztuka*

Jurata Bogna Serafińska – *Zamknięte
Urojenia Olgi Lalić-Krowickiej*

Irena Kaczmarczyk – *Anioł w ogrodzie*

Maja Chadryś-Engelking – *Jubileusz
Lidii Kosk*

Łukasz Tekiela – *Wędróki z Kwisaczką*
Wydarzenia, Informacje, Kronika
Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Nagroda Angelusa

Siedem książek weszło do finału siódmej edycji Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus spośród 43, które zostały zakwalifikowane do nagrody. Polską prozę reprezentują *Saturn* Jacka Dehnela, *Drwal* Michała Witkowskiego oraz *Włoskie szpilki* Magdaleny Tulli. W finale znalazły się również *Historie ważne i nieważne* ukraińskiego pisarza Andrija Bondara, *Wojna i wojna* węgierskiego prozaika László Krasznahorkaia, *Srda śpiewu o zmierzchu w Zielone Świątki* autorstwa Bośniaka Miljenko Jergovića oraz *List miłosny pismem klinowym* Czecha Tomasa Zmeskała. Angelus jest nagrodą dla pisarzy pochodzących z Europy Środkowej, którzy podejmują w swoich dziełach tematy najistotniejsze dla współczesności. Nagroda, którą stanowi statuetka Angelusa autorstwa Ewy Rossano i czek na kwotę 150 tys. zł., przyznawana jest za najlepszą książkę opublikowaną w języku polskim w roku poprzednim.

Konkursy

XIX Regionalny Konkurs Literacki „O Laur Topoli”

Organizatorzy: Miejski Dom Kultury w Zduńskiej Woli, Klub Literacki TOPOLA, Towarzystwo Kultury Języka Oddział w Zduńskiej Woli.

Celem konkursu jest wyłonienie nowych talentów poetyckich i prozatorskich.

W konkursie może wziąć udział młodzież do 25 roku życia, wyłącznie z terenu województwa łódzkiego.

Konkurs rozstrzygnięty zostanie w następujących kategoriach: poezja – kategoria wiekowa do 15 lat i powyżej 15 lat, praca epicko-publicystyczna (tj. list jako forma wypowiedzi osobistej, kartki z dziennika, zapiski pamiętnikarskie, baśń literacka, felieton „widziane z drugiej strony”, reportaż interwencyjny, recenzja książki, sztuki teatralnej lub filmu, sprawozdanie „Jak zmagaliśmy się z...” – młodzież w wieku 16-25 lat.

Warunkiem udziału w konkursie jest dostarczenie lub przesłanie:

- 4 egzemplarzy każdego wiersza od 3 do 5 wierszy nigdzie dotąd niepublikowanych i nienagradzanych opatrzonych godłem (z dopiskiem na kopercie – „O Laur Topoli” kat. 1),

- 3 egzemplarze prac epicko-publicystycznych od 2 do 4 stron maszynopisu lub czytelnego rękopisu opatrzonych godłem (z dopiskiem na kopercie „O Laur Topoli” kat. 2).

Do utworu należy dołączyć kopertę, za-

wierającą informacje dotyczące danych o autorze, tj. imię, nazwisko, wiek i dokładny adres autora, jeżeli to możliwe również numer telefonu i e-mail. Koperta musi być oznaczona takim samym godłem jak każdy tekst.

Przez godło rozumie się słowo maskujące właściwą tożsamość autora. Wyklucza się godła graficzne i rysunkowe!

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 16.11.2012 roku. Prace należy przesłać na adres: Miejski Dom Kultury, ul. Łaska 12, 98-220 Zduńska Wola.

Jury konkursu, powołane przez organizatorów, dokona oceny nadesłanych utworów, przyznając laureatom nagrody.

Ogłoszenie wyników oraz podsumowanie konkursu przewidziane jest na grudzień 2012 roku dokładnym terminie laureaci zostaną powiadomieni oddzielnym pismem, telefonicznie lub e-mailem.

Nadesłanych prac Organizatorzy nie zwracają i zastrzegają sobie prawo nieodpłatnych publikacji w prasie i drukach okolicznościowych.

Wszelkie mogące powstać na tle niniejszego regulaminu kwestie sporne rozstrzyga w sposób ostateczny Jury konkursowe działające w imieniu Organizatorów.

Szczegółowe informacje można uzyskać pod numerem telefonu (43) 823-25-92 wew. 15 lub e-mail: imprezy@mdk-zdunskawola.pl

Imprezy

Jubileusz Lidii Kosk

26 września 2012. Piękny warszawski jesienny dzień, ten wieczór to jakby prezent dla Pani Lidii Kosk w dniu jubileuszu 50-lecia jej twórczości.



Foto: Andrzej Kosicki

Bohaterka wieczoru (pierwsza od prawej).

Kim jest Pani Lidia? Należałoby zapytać, kim nie jest. Prawniczka z wykształcenia, podróżniczka, fotografka, poetka, reżyserka i współtwórczyni Autorskiego Teatru Poetyc-

kiego. To także, a może przede wszystkim społecznik. Oddana sztuce, ludziom sztuki i po prostu ludziom potrzebującym wsparcia i pomocy, człowiek. Ponadto zajmuje się historią Polski, między innymi z mężem Henrykiem Koskiem przygotowała dwutomowy słownik *Generacja polska*, wydany w latach 1998-2001.

Uroczystość zorganizował Urząd Dzielnicy Mokotów w mokotowskim Centrum Integracji Mieszkańców przy Wydziale Spraw Społecznych Zdrowia dla Dzielnicy Mokotów.

Pomieszczenie siedziby Integracji wypełniła liczna publiczność, bo też Pani Lidia Kosk zaskarbiła sobie sympatię, szacunek i chyba wdzięczność tych, z którymi życie splótło jej losy. Byli wśród gości sąsiedzi, byli dzieci, z którymi w ramach programu edukacyjnego charytatywnie pracuje, autorzy, którym pomogła wydać zbiorek wierszy i opowiadań *Jak drzewo być owocne*, wreszcie członkowie teatru ATP. W imieniu władz powitał bohaterkę wydarzenia pan Piotr Boresowicz, zastępca burmistrza Mokotowa, który odczytał szlachetną w tonie laudację władz dzielnicy. Były kwiaty, oklaski, wrzuczenia.

Potem odbył się sympatyczny wernisaż, pani Lidia zaproponowała fotograficzne studium jednego drzewa, dębu z lasów beniaminowskich, ulubionego drzewa Autorki. To, co mówiła pani Lidia o tym dębie, brzmiało jak poemat o wybranym człowieku, przyjacielu. Nowy tomik poetki, *Jak rzeki do morza*, otwiera zdjęcie drogi w lesie. W rozmowie ze mną autorka powiedziała, że „narodziny człowieka są początkiem drogi często trudnej, niespokojnej, a las jest dla człowieka opiekuńczy”. Pani Lidia dużo podróżuje, jest ciekawa świata. W jej poezji występuje wiele różnych miejsc: Ameryka, Paryż, ale Beniaminów, ów las beniaminowski pojawia się jako bardzo ważne miejsce: „Polska jest dla mnie najważniejsza”, dodaje.

Podróże pani Lidii owocują inspiracjami twórczymi, nowymi, motywami, fotografiami, a także przyjaźniami.

Wieczór 26 września to oczywiście czytanie wierszy Lidii Kosk. I tu piękny akcent twórczej przyjaźni i znowu szczególny charakter wieczoru. Wiersze w oryginale czytane były przez Autorkę, swoje przekłady angielskie przeczytał gość z USA, pani Danuta E. Kosk-Kosicka, usłyszeliśmy także tłumaczenia japońskie, które przedstawiła pani Izumi Nakamura. Słuchaliśmy jak zaczarowani. Różnobarwny ton trzech pań złożył się na prawdziwy koncert poetycki.

I na koniec wspaniałe rozmowy przy poczęstunku oraz koncert gości z Japonii, panie zagrały utwory japońskie i popularną ludową piosenkę polską, na tyle znaną, że śpiewaliśmy wszyscy. To był naprawdę fascynujący wieczór.

MAJA CHADRYŚ-ENGELKING

Ze mną było trochę inaczej...

Z Joanną Machą, zdobywczynią Orła za scenografię do filmu Jana Jakuba Kolskiego „Wenecja”, rozmawia Miroslaw G. Majewski

Miroslaw G. Majewski: – *Chciałbym Ci podziękować, że w natłoku zajęć znalazłaś dla mnie trochę czasu na face to face, więc od razu przejdę do rzeczy, zadając najbardziej nurtujące mnie pytanie: – Jak to się stało, że zostałaś scenografem? Myślę, że nie jest to marzeniem dziewczynki...*

Joanna Macha (śmiejąc się): – A w moim przypadku właśnie tak było. Już jako mała dziewczynka wraz z moją kuzynką, bawiłam się w teatr, ze szczególnym uwzględnieniem scenografii... Czego myśmy nie wymyślały, długo by o tym mówić. I wszystko było całkiem na serio, zaangażowaliśmy nawet kolegę mojego starszego brata Olka, który był odpowiedzialny za światło, oczywiście sprzedawaliśmy bilety... Ale scenografia była tym, w czym czułam się najlepiej.

– Nie chciałaś być aktorką, piosenkarką?

– Nie... Nie chciałam.

– No to mnie zaskoczyłaś. Rozumiem, że wybrałaś studia scenograficzne, o ile takie są, popraw mnie, jeśli się mylę...

– ...nie od razu. Ze mną było trochę inaczej, najpierw skończyłam Wydział Grafiki na ASP, przechodząc przez wszystkie pracownie grafiki warsztatowej i moją ulubioną pracownię – malarstwo!!!, używając różnych technik, aby wymienić grafikę, czy olej. Dopiero po kilku latach postanowiłam zrealizować moje dziecińcze marzenia i wybrałam scenografię.

– Wystawiałaś swoje prace graficzne i malarskie?

– Tak.

– A więc masz dwa dyplomy, w tym scenografa, i co dalej?

– Otrzymałam pracę w teatrze Ateneum, jako drugi scenograf, w tym samym czasie moja kuzynka, Agata, zadebiutowała również w tym teatrze.

– Ta, z którą bawiłaś się, będąc dziewczynką?

– Ta sama.

– Więc ona jest aktorką? Agata, a jak dalej, o ile nie jest to tajemnicą?

– Agata Buzek.

– Agata Buzek?!

– Dokładnie.

– No to mnie zaskoczyłaś... Teraz to nawet dostrzegam podobieństwo, ale zapewne to sugestia. Powiedz mi, jak trafiłaś do filmu?

– Pomagałam mojej koleżance Kasi, która pracowała z Lechem Majewskim... Czy wy jesteście z Lechem jakoś spokrewnieni?

– Niestety, nie.

– I w związku z tym, że termin realizacji wciąż się przesunął, a Kasia była w zaawansowanej ciąży, zostałam sama na placu boju, próbując odnaleźć się u boku Lecha Majewskiego.



Joanna Macha

– Czyli od razu na głębokie wody. Jak się pracuje z Lechem Majewskim?

– To artysta w pełni znaczenia tego słowa, dużo się od Lecha nauczyłam.

– Pracowałaś naprawdę z wieloma znakomitymi reżyserami, Majewski, Zanussi, Kolski, Linda, Smarzowski... Jak to jest pracować, co by nie mówić, z ikonami polskiego kina?

– Każdy z wymienionych przez Ciebie reżyserów to osobna historia, inny rozdział, inny rodzaj współpracy, podejścia do rzeczywistości... „w ogóle inny świat, każdy z nich oczekuje od scenografa czegoś innego.

– To znaczy?

– Długo i miło by opowiadać... Na przykład u pana Krzysztofa Zanussiego scenografia jest niesamowicie subtelnym elementem, podkreślającym grę aktorów, i fabułę w ogóle.

– A u innych reżyserów?

– To bywa różnie. Przy niektórych produkcjach, to wręcz katorżnicza praca, od świtu do nocy.

– Czy taka była praca przy „Wenecji” Kolskiego, za którą dostałaś Orła?

– To był naprawdę ciężki, ale bardzo przyjemny kawałek scenograficznej roboty. Na przykład zalaną piwnicę pałacyku robiliśmy w jednej z fabrycznych hal Ursusa.

– Nie! W życiu bym się nie domyślił.

– Na tym polega magia kina.

– Wracając do Twojego Orła, czy gdyby to zależało od Ciebie, to też przyznałabyś go sobie za „Wenecję”, czy może za inny film, przy którym pracowałaś.

– (po namyśle) Myślę, że też za „Wenecję”, ale dla artysty, nagroda przyznawana przez profesjonalistów sama w sobie jest niesamowitym wyróżnieniem, gdybym dostała Orła za inny mój film, cieszyłabym się tak samo.

– Wylapałam, że w filmie Lindy nie tylko jesteś scenografem, ale także aktorką, jak do tego doszło?

– Aktorka to zbyt mocne słowo, często ludzie z ekipy również statystują, pojawiają się na ekranie przez chwilę.

– Mówisz coś?

– Nie. Ale mogę Ci powiedzieć, że praca z Bogusiem Lindą to naprawdę wielka frajda i przyjemność.

(Dokończenie na stronie 4)

Ze mną było trochę inaczej...

(Dokończenie ze strony 3)

– *Teraz pracujesz z Wojtkiem Smarzowskim, o Smarzowskim słyszałem tylko superlatywy, czy możesz to potwierdzić?*

– Właściwie, to realizacja jest już zakończona. Wracając do superlatyw, tak, Wojtek to naprawdę wspaniały, ciepły człowiek i świetny reżyser. Pozytywna postać w każdym calu.

– *Może powinien robić filmy familijne.*

– I to jest zaskakujące. Oglądałeś „Różę”?

– *Tak. Ale nie jest to film familijny, choć inny od „Wesela”, czy „Domu złego”.*

– No, nie jest...

– *Może podzielił się jakąś anegdotką z planu?*

– O, uzbierałoby się kilka, ale powiem Ci o jednej, kręciliśmy z Bogusiem Lindą... „Jasne, błękitne okna”, jest scena kręcona w małym miasteczku, gdzie podaje się sushi, niestety w tamtej części kraju nie do zdobycia, do sceny potrzebowaliśmy rekwizytu – sushi, a scena była realizowana w małym miasteczku gdzie takich dań nie ma w menu lokalnych restauracji robimy więc danie z ryżu, cytryny i... podszewki. Niejadalne, ale ładnie imitujące oryginał.

– *Czyli magia kina. Czego należy życzyć scenografowi?*

– Ciekawych realizacji.

– *I tego właśnie Ci życzę, dziękując bardzo za rozmowę.*



Rys. Barbara Medajska

BARBARA TYLMAN

Do trzech razy sztuka

(fragment)

Dwa tygodnie minęły bardzo prędko. Ale i tak nie mogłam doczekać się następnego spotkania z przyjaciółką. Dużo o niej myślałam i czasami nawet siebie ganiłam za to, że dosłownie wdarłam się w jej prywatność. Jednocześnie strasznie byłam ciekawa jak potoczyło się jej życie dalej.

W umówiony dzień przygotowałam sobie w domu wszystko tak, aby nie mieć za bardzo ograniczonego czasu. Wielka szkoda, że nie dorobiłam się dyktafonu. Byłoby łatwiej utrwalić wyznania Krystyny, a tak, musiałam się bardzo wsluchiwać w to co mówiła. Odniosłam wrażenie, że bardzo mi ufa, była bowiem szczerą i otwartą.

Wchodziłam właśnie do kawiarni, kiedy ktoś pochwycił moją rękę.

– Przepraszam, czy to pani jest umówiona z moją mamą? – usłyszałam cichy głos.

Spojrzałam uważnie na młodą, ładną kobietę w trudnym do określenia wieku. Mogła mieć zarówno dwadzieścia jak i trzydzieści lat. Trudno dokładnie określić wiek, mając przed sobą bardzo ładną, zadbaną i młodzieżowo ubraną kobietę. To Karolina – córka Krystyny. Powiedziała, że mama bardzo przeprasza, ale się spóźni. Mówiła, że babcia zachorowała i mama musi poczekać, aż przyjedzie lekarz. No cóż, byłam wyrozumiała, a jeśli dotyczyło to zdrowia rodziców, to tym bardziej. Oni zawsze byli na pierwszym miejscu. Podczas kiedy Karolina usprawiedliwiała Krystynę, przyglądałam się jej z zainteresowaniem. Miała delikatne rysy po Krystynie, ale typ urody odziedziczyła chyba po Wojtku. Ładnie zarysowane brwi, usta podkreślone pastelową pomadką i ciemne, lekko falujące włosy. Była upragnionym dzieckiem, poczętym w wielkiej miłości. Tak jak Krystynie, tak i jej, życie podarowało nieprzeciętną urodę. Przekazała co miała do powiedzenia i nie odwracając, się przeszła na drugą stronę ulicy i włączona w tłum przechodniów, zniknęła mi z oczu.

Usiadłam przy stoliku w samym rogu sali. Ciekawiło mnie, kto wchodził do lokalu. Staralam się odczytywać z twarzy wchodzących nastroj, w jakim byli. Zabrałam się do przeglądania poprzednio poczynionych notatek, gdy ktoś odsunął krzesło. Krysia. Uradowana powiedziała:

– A już się bałam, że nic nie będzie z naszego dzisiejszego spotkania. Wiesz, że bardzo liczyłam na ciebie? Byłam naprawdę pewna że przyjdiesz. Przyjaciółka powiedziała cicho:

– Kłopoty z mamą. Od jakiegoś czasu pojawiało się u niej bardzo wysokie nadciśnienie. Ukrywała to przede mną, bojąc się, że nie pozwolę jej normalnie żyć.

– Tak to jest z tymi naszymi matkami – westchnęłam – i nic nie poradziły.

Zamówiliśmy sobie po dużej kawie. Krysia namówiła mnie również na mały koniaczek, niby dla poprawienia nastroju. Przy stoliku obok usiadło wesołe towarzystwo. Oblewali jakiś sukces czy egzamin, a może czyjeś urodziny... Muszę przyznać, że trochę nas rozpraszali, gdyż co chwilę z ich stolika rozlegał się rześisty śmiech. Postanowiłam jednak skupić się i jak najwięcej wyciągnąć od przyjaciółki. Nie z samej ciekawości, bo przecież Krysia sama dążyła do dzielenia się swoim życiowym doświadczeniem. Znowu przyłapałam się na tym, że bacznie wpatruję się w jej twarz, i po raz któryś, patrząc na nią, przyznałam w myślach, że ona naprawdę jest ładna. Sącząc powoli złocisty trunek, otoczona smużką dymu z papierosa, który zapaliła koleżanka, zamieniałam się w słuch.

– Tak byłam zajęta swoją pracą, że nie zwróciłam uwagi, jak prędko mija czas. A może nie chciałam tego zauważyć? Albo nie chciałam widzieć zmian, które we mnie występują? Z dawnymi koleżankami nie miałam ochoty się spotykać. Zresztą sama wiesz, jak to jest. Każda ma swoją rodzinę i swoje zmartwienia, po co miałam zawracać komuś głowę moimi sprawami. Coś się jednak wydarzyło i to przez pewnego faceta, poznanego przypadkiem. Oj, trochę on w moim życiu namieszał. Było to... gdzieś około pięciu lat po śmierci Wojtka. Dochodziłam wtedy chyba do czterdziestki i jakoś do tej pory żaden facet specjalnie mnie nie zainteresował. Powoli stawiałam się zimna jak ryba i całkiem obojętna na czule słowa. Znajomość z nim zaczęła się w bardzo zabawnych okolicznościach. Otóż byłam z pewnym towarzystwem na kolacji w jednej z restauracji w śródmieściu. Zapamiętałam, że był to elegancki lokal serwujący bardzo wykwintne dania. Bawiliśmy się znakomicie, jako że towarzystwo składało się z tzw. elity. Wypiłam trochę alkoholu, później zjadłam coś bardzo smacznego lecz ciężko strawnego, a na końcu mój ulubiony deser – lody czekoladowe. Tak mi się wszystko w żołądku i w głowie pomieszało, że w pewnym momencie – kiedy usiłowałam wstać, aby pójść do toalety – straciłam równowagę i upadłam na stolik. Oczywiście to, co było na nim, znalazło się na mnie. Czarna sukienka z różnymi wzorami i kolorami przypominała teraz obraz Picassa. Do tego moja twarz nabrała buraczanego koloru. Zupełnie nie wiedziałam, co mam zrobić. Za to moje towarzystwo, w którym każdy był już pod humorem, bawiło się świetnie. Usiadłam bezradnie na krześle i z pomocą kelnerki próbowałam choć trochę uporządkować swój wygląd. Wszystko na nic. Całej tej hecy przyglądał się, siedzący przy jednym ze stolików, pewien facet.

(...)

MNIJ WIĘCEJ (93)



Zgoda na gorycz

Ukazała się książka 20-letniego debiutanta, **Kacpra Płusa**. Ten chłopak z Pabianic (więc, co naturalne, dorastający do poezji w środowisku łódzkim) jest już nieźle znany, a to dzięki konkursom poetyckim, w których brał z powodzeniem udział. Ten początek zdawałby się więc dosyć typowy, gdyby nie fakt, że Płusa zwraca na siebie uwagę wyjątkowym i bardzo osobliwym talentem. Na ogół do tej oryginalności i formuły języka oraz do takiego „światoobrazu” dochodzi się nie tak szybko, jak on. Na to trzeba czasu i piołunu! Dlatego tak się dziwimy tym młodym rimbaudom, którzy dar talentu otrzymali bez terminowania w życiu i poezji.

LESZEK ŻULIŃSKI

Kacper dwukrotnie uczestniczył w warsztatach poetyckich, jakie prowadziłem. Zawsze był tam najmłodszy i zawsze wyróżniający się. Teraz więc ten debiutancki tomik nie zaskoczył mnie, co najwyżej potwierdził moje pozytywne zdziwienie.

Choć ani jedno słowo o „pozytywach” nie powinno paść w tej recenzji. Bo to wiersze traumatyczne, buszujące w zdeintegrowanej rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej, poszukujące jakiegoś klucza scalającego to wszystko, lecz odnajdujące tylko jazgot zdarzeń i sensów, które posklejać się nie pozwalają. Maciej Malecki w posłowie do tomiku pisze: *Poezja Kacpra Płusa suto czerpie z marnego czasu, w jakim młodemu poecie przyszło żyć. Z jego rud dobywa na tyle sporo językowych wrażeń, że treść jego wiersza obfituje w rozległe tonacje negatywnych ujęć nie tylko samego czasu, ale i tego, co w jego trybach się wydarza. (...) Surowe płótno jawy, którym jest wyścielany każdy wiersz z tego tomu, nie dość, że jest odczuwalnie bardzo szorstkie, to jeszcze staje się lotnym tłem dla każdego ruchu czy gestu bohatera tych wierszy – tropiciela sensu w świecie podejrzanym coraz bardziej o jego brak.*

Te wiersze przypominają mi jakiś halucynacyjny sen, oniryczny majak, z którego po przebudzeniu ciężko się wykaraskać. Oto – dla

przykładu – próbka takiego obrazu: *był sad. rozrastał się jak apokryf, poza marginesem. księga to tynki gospodarstw. / więc szósta rano. pociąg z miasta a do miasta b nie jechał. // zostałem sam przed budynkiem stacji. zostałem sam, choć pociągi nie odchodziły. / na spleśniałej kiści peronów czas włócił się jak zwierzę, / umaszczony plamami cerkwi, chat, dzieci o czerwono-czereśniowych twarzach. / przy przetrtej drodze żużel przypominał szlaczek w zeszycie. pamiętał przeprawy / po marcowych błotach (ich daremność). koleiny układały się w szereg. / pnie drzew też. nic tak nie krwawi jak blizny zadawane skalpelem bieżnika. // krajobraz ze środkiem w metalowym szyldzie. dla niego odjazd to powrót. / zrywanie jabłek z jabłonią. Nazwałbym tę poetykę i to postrzeganie świata „melancholicznym katastrofizmem”, a jeśli to zbyt nieostre i dyskusyjne określenie, to użyłbym innego: „niepokój dezintegracji”. Wszystko w świecie Kacpra dziwi się sobie, bowiem układa się w ład nieładu. Jest tylko jeden kierunek, w dół, w stronę światła – pisze autor w innym wierszu... I tak, „do góry nogami”, poeta opisuje zastany porządek. Wbrew pozorom jednak ten surrealizm i oniryzm nie są tu jedyną rzeczywistością. Sporo zwykłego reizmu, naturalizmu, a nawet aluzji historycznych. To by znaczyło, że Płusa nie ignoruje świata realnego – on zderza go tylko ze swoim w nim poruszaniu się, on zamienia obiektyw w subiektyw. I tu odbywa się ów dramat niekoherencji, owo zwarzenie ego realem. Ten wielki dramat nas wszystkich: jak świat się w nas nie układa! Nazwać to nawet jestem skłonny neokatastrofizmem, zwłaszcza, gdy znajduję tu takie wiersze, jak ten o destrukcji: *w porze sjęsty tynki zastygają. ręka i oko pulsują od ściany do ściany, / Pacyfiki jętrzą figury stylistyczne. ptaki zaciskają szpony / w geście zemsty. // i tak gips rozejdzie się po łokciach. i szczypta / języka jak w lascaux albo alcatraz będzie drążyć skalę, / póki obchodzę się tkanką, póki nie wejść w obieg.**

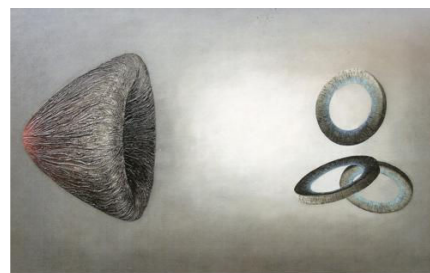


Kacper Płusa

Jest w tej alienacji Płusa jakiś obłąd, szaleństwo, aczkolwiek pozbawione hysterii. To raczej egzystencjalne konstatacje bijące jak naturalny puls solipsyzmu konfrontowanego ze wszelkim eksteriorem. Choroba nie tyle niepokodzenia,

co organicznego nieprzystosowania; jakaś teoria bytów, które „dogadać się ze sobą nie mogą”. Ów świat inkorporowany w aurę i sens życia po prostu zakłóca harmonię oczekiwaną. A ona jaka? Nie mam pojęcia, ale domyślam się: ona nieiszczalna i bardziej usytuowana w sferze wszelkiego, nawet niedefiniowalnego *mythos* niż *logos*. A w realu pozostaje już tylko zgoda na gorycz...

Niekomfortowo czyta się takie credo 20-letniego poety. Ale tym bardziej imponuje jego „bolesne istnienie”, które większość z nas oszukuje życiem powierzchownych afirmacji i konformizmów. A poza tym Kacper Płusa znalazł swój osobny język, a więc stworzył idealny „świat przedstawiany”, który w całości jest jego niepowtarzalnym kosmosem. Jak wiadomo, w poezji nie idzie o taki czy inny weryzm – zawsze chodzi o nowy, własny kosmos!



KACPER PŁUSA | ZE SKRAJU I ZE ŚWIATŁA

Kacper Płusa, „Ze skraju i ze światła”. Ilustracje: Andrzej Frydrych, Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2012, s. 52.

Kacper Płusa

pieśń w stronę światła

grypsuję od kilku miesięcy. dom przenika przez ściany.

odliczam smugi po fajkach, prawie całkiem wrosłem w sytuację po poprzedniku. ból pulsuje jak ślina, gdy dają śluz zamiast żarcie.

wczoraj próbowałem kopać. przez barierkę przenikało ciepło na kształt kobiecej ręki. jest tylko jeden kierunek, w dół, w stronę światła.

blues o powrotach

na dworcu rozkłady napięte jak mięśnie, włókna.

idę tropem hochsztaplerów. tropem kawiarni i spelun, gdzie przy karcianych grach przypisuje się miejsce w delcie – na udach kobiet.

dla spóźnionych pozostanie miasto – port w cieniu kamienic i bram. na lędźwiach bawelna.

Wiesława Zielińska- Siemaszko

nikt nie powiedział

spróbuję zatrzymać mój uśmiech. chwilą
codziennych spotkań na ulicy
w mijanych twarzach, niepotrzebnych
bibelotach. na przykład wczoraj
nad ranem. kiedy rozgrzane do czerwoności
słońce rozbijało drobinki snów.
w każdym geście szukam usprawiedliwienia
dla minionego czasu, chociaż
nie jestem pewna wyrazu oczu, zastygłych w
leniwym ciągu zdarzeń,
pospolitych przyzwyczajęń, zbyt pochopnych
decyzji. pod powieką niedomówień.
na wszelki wypadek. a może na przekór
każdemu. z osobna.

spróbuję zatrzymać mój uśmiech. dla
wszystkich mijanych znaków. dookreślonych
mniej lub bardziej. nie do końca wypełnionych
nadzieją. zwykłych, przypadkowych dni.

przecież nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

portret matki we wnętrzu

może nie powinnam zaglądać do lustra?
tam widzę jej twarz. skupioną tak, by nie
uronić żadnej łzy.
ciągle zamyka w sobie ból. zardzewiały klucz
dawno już zastygł
w rękę ojca. kiedyś jeszcze próbował.
pamiętam jak zgrzytało
jej przeświecane serce. jak w pustych dłoniach
chowala się
cisza i kot na kolanach. moja matka coraz
bardziej kurczy się
w pomarszczonym życiu. tym trochę moim.
od wewnątrz.

list pożegnalny Amy Winehouse

pod przezroczystą skórą strachu, jak słowo po
słowie
wyszeptać swoją wiarę. coraz bardziej
zazdrosną o śmierć
co tylko oswaja we mnie zaszczute zwierzę
i krzyczącego ptaka
w wielkim gardle głosu. przez w pół
domknięte usta
wydobywam się jeszcze spod nieruchomych
powiek. dostrzegam
ledwie pulsujące światło nocy i ulicę w
deszczu. twarze i szepty
mijanych znaków. czy to już?
p.s. tam na granicy snu. cicho. szyderczo
uśmiechnięta. czai się ciemność.

Waldemar Michalski

Biała mewa

Pamięci syna Janusza

Skąd przybywasz biała mewo
cała piękna w lustrze okna
spakowane już namioty
bystry nurt porywa wiosła.

Kto na brzegu wody czeka
nieznajoma jego mowa
z lewej świętej trójcy wieża
w dole srebrnej rzeki brama.

Skąd przybywasz biała mewo
w każdym słowie wyczekana
znak bez słowa w drogę dany
czy kolejna w sercu rana.

Na pulpicie adres nowy
rozpisane dni etapy
miarą rzeczy kartka biała
wciąż na nowo zapisana

Skąd przybywasz biała mewo
znad Prypeci czy znad Dniestru
z jakim słowem tu się zjawiasz
jak powracająca żywa fala.

Wala się mury Jerusalem

*Synowi Januszowi na nowe spotka-
nie*

1.
Wczoraj byliśmy w cerkwi
wszyscy święci odprowadzali cię do raję
na tęczowym łuku słowo amen
zamykało usta
otwierało rany
zapaliliśmy świeczki
zielonooka Pani
przytuliła mocniej swoje dziecko
niewidoczne działo się poza nami
stał czas i stanęła rzeka
byliśmy razem
zaczynam wierzyć
każde rozstanie
jest początkiem nowego spotkania.

2.
Gdy syn umiera wala się mury Jerusalem
obcy pytają czy prawda
milczą stare tablice
do domu droga daleka
kto czeka
widziałem jak więdną kwiaty
wypalają się ognie
wysycha ziemia
i pęka kamień
wczoraj – jest
dzisiaj – było

jutro – bez odpowiedzi
czas – rozbity garnek

nie podam ci wiosła
choć widzę znak otwartej dłoni.

3.
To nieprawda, że nie przyjdiesz
wieczorem – mówiłeś przecież
poczekaj
to ja się spóźnię
wszystko gotowe
stół komputer rysowane plany
jakby wycięte z prospektu
obrazy znad Dniestru i Prypeci
kilka aktualnych książek
kalendarz otwarty na jutro
kto dopisał znak pytania
nikt nie włącza domofonu
klamka milczy

kochałeś –
i chciałeś być kochany
wiosło czeka.

4.
Dlaczego, pytam, dlaczego?
w ciemność wędruję
nie słysząc słyszę
nie dotykając dotykam
wierząc czekam
marmurowa płyta
obca i ciężka nad miarę.
Wiosła jako skrzydła prowadzą po fali
srebrny Dniestr z biblijnego raję
otwiera kolejne bramy
kaczeńcami szeroka Prypec płynie
od brzegu do nieba wiosna
od wczoraj do dziś kronika nie zapisana
a przed nami
droga coraz krótsza jakby bliżej Boga.

5.
Co robią o świcie sroki na cmentarzu
niby dzień a jeszcze noc
witać i żegnać gotowe zarazem
odważne siostry samotnych braci
dwa kolory granatowy i biały
jak mundurki szkolnych dzieci
trochę życia i nadziei
tylko my tu po co
przed czasem kamień odwalony
czeka...

Sen – brat śmierci

Synowi pływającemu po Dniestrze i Prypeci

Gdy sen
staje się światem realnym
dostępnym na każde życzenie
wołam – gdzie jesteś.

Coraz mniej słyszę
coraz więcej widzę
przekraczamy trudne granice
tylko nam znajoma miara.

Wiosła są dwa
jak dwa skrzydła
zwykła codzienność
kalendarz – rzeka.

Spojrzał z zawieszonego lustra
zapytał kim jesteś
jestem Wolność – usłyszał
uwierzył i poszedł za nią.

Na regale portret świeżo malowany
zielona kanadyjka w garażu
adres nowy na trzeci dzień listopada
i żywa ła na policzku.

Aleksandra Pijanowska- Adamczyk

Topola

na gałęzi topoli włoskiej
przekreślającej pionem
brudne niebo
jeszcze cztery listki
drżą samotnie
gdy spod ziemi
w leniwym krwiobiegu
w senny pień się wznosi
cichy bulgot drzewnej krwi
jak w retorcji alchemika
gotuje pory roku

Pępowina

nie wybierałam sobie czasu
nie wybierałam tego miejsca
na oddech na sen
na talerz ciepłej stawy

nie wybierałam przechodniów
spotkanych wczoraj i dziś
ani języka którym wyznaję
miłość i gniew

w którym przyjmuję
rzadkie słowa miłości przyjaźni
i wielość nieżyczliwości
od moich braci i siostr

do tego miejsca w świecie
pępowiną przyrosłam niechcący
po kądzieli po mieczu
lub zgoła po pługu

i teraz spróbuj
mnie oderwać stąd
krew tryśnie

Na osi

Metalowa rura w pionie
i piękny kawałek mięsa
w ewolucjach wokół osi — do świtu

kupić — nie kupić
pierwsza krzyżowa warta swojej ceny
obiektywne szkielko wokół kupca
pękło od żaru
adrenalina sięga pułapu
do jutra przejdzie czkawka od przesytu
a jutro znów na apetyt
piękny kawałek mięsa
może być bez opakowania

Maria Magdalena Pocgaj

Deszcz ptaków

runął z zimowego nieba
gwałtowny bezładny
gorączkowo szukając przyczyny
usuwanie w białych rękawiczkach
truchła braci mniejszych
tysiącami zalegające
zabetonowaną ziemię
i łąki w asfaltowym bezdechu
niemym świergotem
zawisł w powietrzu
kolejny symptom
nieuleczalnie chorej
planety ludzi

Drewniana poręcz

majestatyczna
wygladzona polerką czasu
stoi na straży wydeptanych stopni
nie wiadomo ilu dłoniom
szlachetnie udzieliła wsparcia
nawet nie drgnęła
choć dudniło w całej sieni
gdy niesforne dzieciństwo
zjeżdżało po niej
na łeb na szyję
goniąc śmiech

Ramy okienne

żałosne stare panny
wstydliwie
resztkami złuszczonej farby
zakrywają dziurki po kornikach
i dyskretnie
na zaparowanych szybkach
rysują krzywe serduszka

Bajkoprojektor

w zaciemnionym pokoju
z ekranem prześcieradła
kartoflaną pieczęcią na biletach
i wędrującym po smudze światła
migotliwym kurzem
ósmu cud świata
po każdym seansie jednogłośnie
tato jeszcze raz

Tamte wigilie

Z polykanymi łzami
w powietrzu zadrapanym od krzyku
z wywróconą w przedpokoju kołędą
z idiotyczną formułką przy opłatku
z głupią nadzieją że za rok będzie inaczej
tamte wigilie przychodzą do mnie
zdziwione ciszą domu
zwinietą w kłębek na moich kolanach
patrzą mi w serce
węższą

Rahela

Czymże jestem
bez twych migdałowych oczu
i włosów, jak głęboka,
pasterska noc nad Charanem.
Czymże jestem
bez twojego cienia,
co tańczył przede mną
na pustkowiu...

Nie dla mnie wschody i zachody,
smak wina i słodycz daktyli.
Płomień w sobie noszę,
zamiast serca.

Dla ciebie jestem gotów
zaorać wszystkie pola świata
i wykarczować całą hardość ziemi.

Bo... czymże będę
bez muzyki twego głosu
i bez dłoni, tulących jagnię,
co jak dzwoneczek drży
na końcu stada.

Gitta Rutledge

Noc

Tak długo NOC będzie trwała...
jak długo Człowiek w Człowieku
...nie dojrzy ...swego „brata”...
szelest jesiennych liści
zmieszany z szelestem myśli

nagle na ramieniu...
kruchy motyl przysiadł...
nie dotykam skrzydełek
nie chce ich uszkodzić
wznies się wysoko... w niebiosach
tam... tylko miłość rządzi...
tam... prawda...
tam... radość i szczęście...
które nie zawodzi...
tam nie ma lepszych... i gorszych
obludy... zakłamania...
dla rozświetlenia umysłów
gwiazda się z mroku... wyłania...

Poznań, 21 października 2012

Salonowa miłość w twórczości Celiny Gładkowskiej (2)

Zygmunt to kolejny reprezentant chętnie przedstawianej przez Gładkowską światowej młodzieży. Już na pierwszych stronach powieści został scharakteryzowany przez poszczególnych bohaterów jako człowiek niestały, ciągle potrzebujący nowych wrażeń i łatwo zmieniający obiekt swoich uczuć. Zauroczony Heleną, starał się pozyskać jej względy w sposób podobny do tego, w jaki Karol zabiegał o Wandę. Zygmunt także odwoływał się do popularnego wizerunku kobiety – anioła, akcentując przymioty emocjonalne i duchowe każdej kobiety, ważniejsze od względów materialnych, prestiżowych, a nawet urody. W przeciwieństwie do Wandy, Helena uważała te słowa za szczerzy wyraz poglądów Zygmunta. Wierzyła, że książę potrafi pokochać na całe życie dziewczynę z niższej warstwy społecznej, kierując się wyłącznie przekonaniem o najwyższej wartości kobiecego serca, a zatem przypisywanych jej zasadami konwenansu zalet charakteru.

– (...) zostaje zawsze rzecz jedna, co z kobiety czyni anioła – zostaje serce. A serce kobiety to skarb taki, że ona wszystko zań kupić może; gdy która ma serce, to ma wszystko – i nie dziw, że taką się kocha głęboko, nie dziw, że dla takiej poświęca się wszystko, co inni cenią wyżej nad życie, za co by duszę oddali... Takiej kobiecie rzuca się wszystko pod nogi, niech depta po tym; serce ma tylko słuszość, tylko w nim jest prawda...²⁷

Przedstawienie kobiety jako idealnego anioła wiązało się z poruszeniem zagadnienia dotyczącego moralnej wyższości kobiet nad mężczyznami. W wiktoriańskim wizerunku kobiety doskonałość duchowa, oparta na zdolności do poświęcania się dla szczęścia rodziny, ztracania własnej indywidualności w wypełnianiu obowiązków domowych, a wreszcie umiejętności cierpliwego przebaczenia mężowi wszystkich ekscesów obyczajowych²⁸ stanowiły wraz z cnotliwością i niewinnością w zakresie życia seksualnego jedyną sferę, w której kobieta przewyższała mężczyznę.²⁹ Z tego powodu niezwykle ważna była troska o dobre, nieskalane cieniem skandalu czy plotki imię oraz nieposzlakowaną godność kobiecą, gdyż w przeciwnym wypadku groził kobiecie ostracyzm społeczny.³⁰ Równocześnie niezwykle trudno było zbliżyć się do tak wygórowanego ideału, który na ziemiach polskich łączył się z równie wymagającym modelem matki – Polki.³¹ Wzorzec ten, podobnie jak zasada podwójnej moralności, przyczyniał się do wytłumaczenia i umotywowania tego postępowania mężczyzn,

które wykraczało poza normy obyczajowe i moralne. W *Złotej niteczce* Helena nie pojmowała jednak tych treści, kryjących się za hołdami składanymi kobieciej doskonałości moralnej. Dostrzegała jedynie szacunek żywiony przez mężczyzn dla istot lepszych duchowo, zdolniejszych do przeżywania głębszych uczuć i jednocześnie unikających wszystkiego, co mogło zbrukać duszę i honor. Bardziej świadoma ukrywających się za tymi słowami norm światowych Jadwisia domyslała się, że pełne patosu frazesy nie tyle wywyszały kobietę, co służyły usprawiedliwianiu mężczyzn z ich ekscesów obyczajowych i niewierności. Warto podkreślić, że w większości przypadków wina za romans męża spadała na żonę, której opinia publiczna zarzucała, że nie potrafiła mężczyzny zatrzymać w domu i zainteresować życiem rodzinnym, a zatem nie wypełniała dobrze kobiecych obowiązków.³²

– (...) mnie się zdaje, że tym właśnie mężczyźni dają nam dowód szacunku. Uważają nas już z przyrodzenia za istoty lepsze, którym nie wolno się zniżyć żadnym czynem nieszlachetnym, żadną myślą niską nawet; od nas wymagają szlachetności, od nas wyższych pojęć, bo uważają nas za zdolniejsze do tego.

Jadwisia się rozeźmiała.

– Tak! – zawołała – karmią nas jak cukrem kankami tymi frazesami (...).³³

Wyrażane przez Jadwisię przekonanie o niesprawiedliwości systemu norm moralnych, obciążającego kobietę winą za postępowanie mężczyzny, oburzało Zygmunta, broniącego tradycyjnego stereotypu kobiecości. Odgadywał aluzję dziewczyny do swego wcześniejszego związku, który nie przetrwał próby dwuletniej rozłąki i zakończył się rozstaniem. Swoje zachowanie usprawiedliwiał nie niestałością i próżnością, lecz lepszym rozpoznaniem uczuć. W podobnym tonie tłumaczył zmianę własnych zamiarów i rezygnację z zaręczyn z Nastką, co jego ojciec chciał wynagrodzić porzuconej ukochanej pieniędzmi oraz doprowadzeniem do małżeństwa z dworskim ekonomem. Dla księcia sytuacja wydawała się jasna; zmiana w uczuciach, ich lepsze zrozumienie i wraz z nim zapomnienie o Nastce wynikały z przyczyn niezależnych od jego dobrych chęci. Jadwisia również bez trudu interpretowała tę sytuację w duchu obowiązujących norm obyczajowych. Zawiniła Nastka swoją miłością do Zygmunta, a z tego uczucia wynikały wszystkie konsekwencje, zatem zgodnie z uznawaną obyczajowo-

ścią wina za rozejście się pary spadała na kobietę. Solidaryzując się z odrzuconą dziewczyną, Jadwisia zwracała uwagę na jej zawiedzione nadzieje i przeżywane uczucia, nad którymi książę nawet się nie zastanawiał, podobnie zresztą jak jego ojciec, gdy składał propozycję finansowego zadośćuczynienia za zakończenie związku z Zygmuntem.

– To nieprawda! – zawołał książę gwałtownie; – nie próżność staje na drodze... gdyby chęci były te same, zdeptałyby się zawady... ale zmieniły się... spadła z oczu zasłona...

– Tak! – przerwała Jadwisia, – to zwykłe tłumaczenie. Ale wy przecież zawsze jesteście bez winy, ona spada na kobietę! I nawet słusznie. Czemuż wierzyła miódowym słówkom? Trzeba było je zbyć pogardą; od chwili, gdy silniejsze uczucie w jej sercu zagości, przepadła...³⁴

W swojej relacji z Heleną Zygmunt korzystał z dziewczęcej naiwności, sztucznie pielęgnowanej w procesie wychowania dziewcząt.³⁵ Odizolowanie od realiów otaczającego świata oraz brak znajomości psychiki i postępowania innych ludzi powodowało, że Helena, podobnie jak wiele młodych panien przedstawianych w literaturze tego okresu, przez długi czas naiwnie dawała wiarę jego słowom. Egzaltowała pojęcie miłości, dopasowując je do posiadanego wyobrażenia o małżeństwie i życiu rodzinnym. Pomimo to jednak nieśmiało wyrażała kielkujące w niej wątpliwości związane z przemijaniem uczuć i ich nietrwałością, czego dowód widziała w rozstaniu Zygmunta i Nastki. Dla księcia tego rodzaju rozważania były z zasady niewłaściwe i nienaturalne; w jego ocenie prowadziły do oziębienia kobiecego charakteru, co nie pozwoliło dziewczynie już nigdy nikogo pokochać, a właśnie miłość połączoną z bezgranicznym, niemal naiwnym zaufaniem uważał za cel istnienia kobiet. Zaskoczona tymi poglądami Helenie wyjaśniał, że zachowanie dziewiczych marzeń i ukształtowanego na nich światopoglądu pozwalało dorosłym kobietom zachować młodość oraz świeżość uczucia, jakim darzyły swego męża. W ten sposób Zygmunt wyrażał pogląd związany z odsunięciem również dorosłej kobiety od brutalności prawdziwego świata³⁶, tradycyjnie uznając go za domenę właściwą mężczyznom.

– Przypuszczenie! – powtórzył z goryczą – na co pani takie przypuszczenia robić? One zatruwają wiarę w młodym sercu, oswajają ze złem – skutkiem takich przypuszczeń nieraz obraża się kogoś niewiary; gdy przypuszczamy, że podpora może się usunąć, gdy chcemy na własnej sile polegać jedynie,

zabijamy w sobie najszlachetniejsze uczucia. Jeśli kobieta kochając zacznie badać uczucie, jeśli uzna, że ono przejść może, to już kochać nie będzie – a wy kobiety tylko kochać i wierzyć powinniście!

– Przepraszam – więc pan nam każe patrzeć na świat przez różane okulary naszych marzeń młodych?

– Nie inaczej, zachowajcie je panie jak najdłużej! Szczęśliwa ta, co zawsze młoda zostanie! Gdy tylko nie wierzy, gdy badać zacznie, nie ma już świeżości uczucia, nie ma uczucia samego!³⁷

Miłosne rozczarowanie w młodości przeżyła także Tola Sawińska z *Na scenie i za kulisami*. Już na początku powieści ze słów Karola Porajskiego wynika, że jego i Tolę łączyło w przeszłości głębokie uczucie. Nie zakończyło się ono ślubem, gdyż rozkochawszy w sobie młodą, ufną panienkę, Karol oświadczył, że nie zamierza się żenić. W życiu Toli był to moment przełomu; ze zrozpaczonej, naiwnej dziewczyny wyrosła dojrzała, świadoma swych wdzięków fizycznych i walorów intelektualnych kobieta, doskonale odnajdująca się w świecie salonów. Krótkie małżeństwo z dużo starszym mężczyzną zapewniło jej najpierw podnoszący pozycję społeczną i dający więcej swobody w relacjach z ludźmi status mężatki³⁸, a później, po śmierci męża, wdowy. Pozbawiona złudzeń związanych z idealną miłością, szybko nauczyła się manipulować adorującymi ją mężczyznami. Otaczana hołdami licznych wielbicieli, nie czuła się jednak szczęśliwa, gdyż w jej pamięci pozostało silne wspomnienie o pierwszym, zawiedzionym uczuciu.

Z czasem rozpacz Toli zmieniła się w gniew i pragnienie zemsty na Karolu, którego obwiniała o własne zmarnowane życie. W rozmowie z Porajskim jasno tłumaczyła, że na jej losy wpłynęły dwa czynniki: złe wychowanie pozbawiające praktycznych umiejętności zawodowych czy rzetelnego wykształcenia, a wyznaczające za szczyt ambicji zamążpójście oraz okrutne postępowanie Karola, który nie mając szczerych intencji, dla przelotnego flirtu oraz nowych wrażeń rozkochał ją i porzucił. Tola podkreślała, że przyzwyczajona do zbytku, nie posiadała dosyć siły, aby oprzeć się pokusie łatwego życia za cenę małżeństwa z niekochanym człowiekiem. Tutaj również winą obarczała niewłaściwy system wychowania, doceniając przy tym znaczenie działalności emancypantek, których poglądy na kształcenie i pracę kobiet mogły uchronić przed podobnie nieszczęśliwym losem kolejnego pokolenia dziewcząt.

– (...) Od dzieciństwa nam powtarzano, żeśmy wyjść za mąż powinny; to też wychodziłyśmy tak, jak matki nasze, aby zyskać swobodę. A jeszcze, jeśli która z nas młodych spotkała na drodze takiego, co wstrząsał jej wiarą i przekonaniami, czy też tym, co nazywano tym mianem, czego uczyć się jej na pamięć kazano, gangrenował pojęcia, drwił ze wszystkiego, co ludzie zwą świętem, to wrażenie zostało na zawsze i ta kobieta nie mogła już nigdy stać się kobietą; ona, jak owa Zosia z Dziadów, między niebem i ziemią lata w powietrzu, ziemia ją wabi i niebo wabi, ale, lekka jak puszek kwiatowy,

nie zatrzyma się nigdzie... Tak i my... Te, co się dziś wychowują, objęte prądem nowych idei, wykształcone inaczej, potrafią się oprzeć życiu, potrafią zapanować nad sobą, nad chęcią użycia bez pracy, zwalczyć ten denerwujący wpływ pokusu, co je wabić będą; my, dziś żyjące i działające, możemy uznać winę, boleć ciężko, ale poprawić się nie mamy siły. Jedną tylko zyskamy zasługę: inaczej, niż nas wychowano, my wychowamy córki nasze; one będą umiały walczyć i za miskę soczewicy nie sprzedadzą prawa starszeństwa ducha swojego...³⁹

Spotkanie po latach Toli i Karola przebiegało po myśli pięknej kobiety. Porajski bardzo łatwo uległ jej urokowi, chętnie też nawiązywał do łączących ich niegdyś uczuć. Jednocześnie nie przeszkadzało mu to w staraniach o rękę Wandy i swatanu Bogdana z Tolą. Pani Sawińska nie stanowiła dobrej partii, nie dałaby się też podporządkować jego woli, a ponadto stale otaczałby ją kompromitujący również męża tłum wielbicieli, dlatego też nie widział w niej kandydatki na żonę. W swoich kalkulacjach traktował ślub z Wandą niemal wyłącznie jako inwestycję finansową, dlatego też nie zamierzał dochowywać jej wierności ani nawet prowadzić wspólnego życia. W oczach opinii publicznej chciał uchodzić za dobrego męża, który nie narzuca żonie własnej woli; w praktyce jednak oznaczało to ograniczenie wzajemnych relacji wyłącznie do konwencjonalnej formy, poza którą Karol nie krępowałby się żadnymi ograniczeniami. W tym idealnym układzie dla Toli przeznaczał rolę kochanki, w pewnym stopniu akceptując również swobodniejsze relacje Wandy z mężczyznami.

Kobiety takie, jak pani Tola, mogą zawrócić najsilniejszą głowę, doprowadzić do szaleństwa czasami, ale niewygodne na żony. Toteż nie myślał ani na chwilę o tym rozumny a szydęczy Ukrainiec; on tylko chciał, jak i inne motyle, zyskać u tego upadającego kwiatu kropelkę miodu, wyróżnienia chwilę; to mu nie przeszkadzało w niczym starać się o rękę bladej i mglistej hrabianki Wandy. Miał zamiar przecież być dla niej bardzo dobrym mężem, nie sprzeciwiać się w niczym i zostawić zupełną swobodę, urządzając sobie życie oddzielnie. Miało to być światowe, konwencjonalne małżeństwo; pewnym był, że hrabianka, prócz delikatnego obejścia i niemieszania się do jej istoty moralnej, niczego więcej wymagać nie będzie; mógł więc układać życie, jak mu było dogodniej.⁴⁰

Karol o swoich planach nie mówił Toli wprost. Przedstawiał jej jednak własne poglądy na małżeństwo i miłość. Zdecydowanie wykluczał istnienie małżeństwa z miłości, w którym uczucie miałoby stanowić decydującą rolę. Opowiadał się za małżeństwem konwencjonalnym, a samo zawarcie związku uważał za wypełnienie jednej z form. Zwracał uwagę, że ma ona znaczenie głównie dla kobiety, gdyż zapewnia ugruntowaną pozycję społeczną i ekonomiczną, a także swobodę w relacjach towarzyskich. Jednak w tak pojętym małżeństwie nie było miejsca na żadne uczucia, gdyż zastępowały je zasady konwensu. Logiczną konsekwencją tego poglądu stanowiło poszukiwanie miłości w związkach

nieformalnych, nietrwałych, których uroku i świeżości nie niszczyła proza codzienności.

– Jako pociecha w smutnej chwili zostaje piękno życia, poezja i wdzięk: uczucie. Czyż kobieta, bez serca rękę oddawszy, nie pokocha już nigdy? Tak nie jest i być nie powinno... Odrzućmy na bok przesady, które zasadami mianują; miejmy odwagę, cynizm... jeśli pani nie zrazi to słowo... raz głośno wyznac to, co wszyscy praktykują w życiu. Dobrze was matki uczyły, że za mąż trzeba wychodzić, że małżeństwo to pozycja pewna, to forma uznana; bo też tak było, jest i będzie. Ale małżeństwo to proza życia, serce w nim zwykle nie ma udziału, to tylko konwencja, układ obustronny, złączenie dwóch pozycji odpowiednich sobie lub się dopełniających wzajemnie: Poza granicą prozaicznego domowego życia jest inne, życie umysłu i serca... życie miłości, uczucia...⁴¹

Karol nie dostrzegał, że Tola negatywnie zapatrywała się na tego rodzaju projekty. Już samo słuchanie jego wywodów sprawiało pani Sawińskiej przykrość, ponieważ interpretowała je jako przejaw przedmiotowego traktowania kobiety. Pomimo to Karol rysował przed nią wszystkie korzyści płynące z życia w wolnym związku, podkreślając istniejącą niezależność oraz brak zobowiązań. Wszelkie domowe i rodzinne obowiązki oraz atmosfera codzienności jego zdaniem niszczyły miłość, prowadziły do obojętności, a z czasem nawet do niechęci. W swoich wypowiedziach opisywał małżeństwo nie tylko jako relacje uczuciowe istniejące pomiędzy ludźmi, lecz nabycie i trwałe posiadanie na własność drugiego człowieka, bez obawy jego utraty.

cdn.

Przypisy:

²⁷ J. Morosz [C. Gładkowska], *Złota niteczka*, Warszawa 1877, s. 26.

²⁸ Por. M. Stawiak – Ososińska, *op. cit.*, s. 221-223.

²⁹ Por. K. Utrio, *op. cit.*, s. 233.

³⁰ Por. *ibidem*.

³¹ Por. M. Ciechomska, *op. cit.*, s. 121.

³² Por. R. Bednarz-Grzybek, *op. cit.*, s. 72-73.

³³ J. Morosz [C. Gładkowska], *Złota niteczka...*, s. 52.

³⁴ *Ibidem*, s. 51.

³⁵ Por. J. Zacharska, *O czym kobiecie wiedzieć nie wypada*, [w:] *Krytyka feministyczna: siostra teorii i historii literatury*, pod red. G. Borkowskiej i L. Sikorskiej, Warszawa 2000, s. 94.

³⁶ Uznając kobiety za istoty słabsze intelektualnie, często traktowano kobiecość, zgodnie ze słowami Augusta Comte'a, jako „nieprzerwane dzieciństwo”. Por. S. de Beauvoir, *Druga płeć*, tłum. G. Mycielska, M. Leśniewska, Warszawa 2003, s. 140.

³⁷ J. Morosz [C. Gładkowska], *Złota niteczka...*, s. 21-22.

³⁸ Por. M. Piotrowska-Marchewa, *Kobieta, rodzina i życie codzienne na ziemiach polskich w XIX wieku*, „Mówią wieki” 2011, nr 3, s. 31.

³⁹ J. Morosz [C. Gładkowska], *Na scenie i za kulisami...*, s. 168-169.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 95-96.

⁴¹ *Ibidem*, s. 169-170.

PROF. BOLESŁAW FARON

Spotkania z Marianem Pankowskim

...nigdy nie czułem się pisarzem emigracyjnym,
lecz pisarzem polskim przebywającym na obczyźnie.

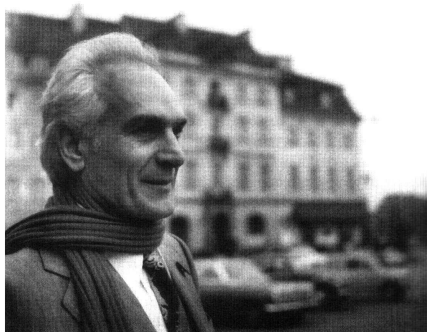
Marian Pankowski

1.

Kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych ub. wieku jako ówczesny rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie (dzisiaj Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN) zabiegałem o utworzenie filologii romańskiej, poszukiwałem ewentualnych sojuszników za granicą, którzy by zechcieli nas wesprzeć kadrowo i finansowo. Dzięki pomocy naszej Ambasady, a zwłaszcza sekretarza Boreckiego (imienia nie pomnę), którego poznałem podczas odbywających się w Brukseli Międzynarodowych Targów Edukacyjnych „Eurodidacta”, dotarłem do Komisji Kultury Francuskiej w Brukseli, którą kierował dr Poupko. Prezydent skontaktował mnie z Wolnym Uniwersytetem Brukselskim, gdzie idea stworzenia w krakowskiej uczelni filologii romańskiej ze specjalnością cywilizacja belgijska bardzo spodobała się ich rektorowi. Właśnie wtedy po raz pierwszy w marcu 1979 roku spotkałem Mariana Pankowskiego, którego część utworów już znałem. Kierował wówczas uniwersytecką slawistyką. Rozmawialiśmy o twórczości literackiej profesora, a zwłaszcza o prozie narracyjnej, która mnie najbardziej interesowała, o literaturze na obczyźnie, o jego nauczycielu i mistrzu Claude Backvisie, znakomitym znawcy staropolskiej i romantycznej literatury, po którym – jeśli tak można rzecz – odziedziczył uniwersytecką katedrę. Autor powieści *Matuga idzie* okazał się żarliwym zwolennikiem tej idei i skutecznie nam pomagał jako profesor slawista w kontaktach z tamtejszą romanistyką. W listopadzie 1980 roku zostałem zaproszony przez władze ULB dla omówienia szczegółów współpracy i udziału w święcie uczelni. Podczas tego pobytu również spotkałem się z profesorem Pankowskim. Wśród wielu tematów, jakie omawialiśmy w jego gabinecie, zapytałem go o to, jak środowisko uniwersyteckie przyjęło przyznanie Czesławowi Miłoszowi literackiej nagrody Nobla, o której – jeszcze przed uroczystościami sztokholmskimi 10 grudnia – oficjalnie było wiadomo już od października. Tekst jego wypowiedzi zachował się w moich domowym archiwum. Nosi on datę 18 listopada. Nie był dotąd drukowany. Przytaczam go tutaj w całości. Pankowski stwierdził, iż informację tę przyjęli bez entuzjazmu, co

następująco uzasadnił:

„Nie jest to przecież czysta nagroda literacka. Miłosz – poeta trudno się tłumaczy na języki obce. Próbowaliśmy zachęcić naszych studentów do recytacji jego poezji. Odmawiali. W gruncie rzeczy jest to przede wszystkim eseista, a nie poeta. Jego liryka to są rozpisane na wiersze traktaty filozoficzne czy socjologiczne. Mamy przecież w Polsce, macie w Polsce, wielu interesujących pisarzy, którzy mogli być laureatami nagrody Nobla. Przecie Miłosz nie dorównuje np. Leśmianowi, a chyba świadomie stylizuje się na Mickiewicza. Istnieje duże niebezpieczeństwo, że poprzez owo nabożeństwo do Miłosza zwichnięcie proporcje w świadomości waszej młodzieży. Nie będzie to zresztą jedyny przypadek przeceniania bądź niedoceniania współczesnej twórczości w Polsce. Owo sztucznie wytworzone w naszym kraju milczenie wobec Miłosza tylko mu pomogło, wywołało zainteresowanie twórczością w kręgu koneserów, nadało kontaktowi z tą twórczością charakter konspiracyjny, a co – jak wiadomo – zawsze wywołuje podniecenie. Miłosza należało dawno do Polski zaprosić, i rzęsiście drukować jego utwory. Zaproszenie to zapewne przyjąłby wówczas bez zastrzeżeń, zwłaszcza że w ostatnich latach nie atakował otwarcie władz polskich. Żył raczej w swoim uniwersyteckim świecie w Berkeley.”



Marian Pankowski

19 listopada 1980 roku

W Bibliotece Slawistyki Wolnego Uniwersytetu Brukselskiego sprawdzam, jak prezentują się tam zbiory twórczości autora *Doliny Issy*. Okazuje się, że są tutaj tylko dwie książki: *Wybór poezji*, wydany w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie i zbiór esejów *Człowiek wśród skorpionów*. Obficie natomiast reprezentowany był w tym księgozbi-

rze Witold Gombrowicz i inni pisarze tworzący na emigracji. Ta sytuacja w bibliotece koresponduje – jak się zdaje – z treścią przytoczonej tu rozmowy. Nie było przecież żadnych przeszkód, ani finansowych, ani tym bardziej politycznych, by cały dorobek literacki Czesława Miłosza się tutaj znalazł.

2.

Te pierwsze krótkie spotkania miały swoją kontynuację. Otóż zadzierżgnięta wtedy znajomość trwała prawie do końca życia pisarza. Zmarł 3 kwietnia 2011 roku w Brukseli w wieku 92 lat w wyniku powikłań przy zapaleniu płuc. Korespondowaliśmy ze sobą, wymienialiśmy myśli, książki. Na moim seminarium magisterskim powstała praca o twórczości narracyjnej autora *Smagłej swobody*, a w 1994 roku została obroniona rozprawa doktorska napisana pod moim kierunkiem o jego twórczości scenicznej. Pankowski dbał o formy, miał swój elegancki styl. Toteż każdą ofiarowaną powieść czy dramat zaopatrywał staranną dedykacją; nie były one zdawkowe, nigdy się nie powtarzały. Oto parę przykładów: na zbiorze dramatów *Nasz Julo czerwony i siedem innych sztuk* (Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn 1981) 18 sierpnia 1981 roku napisał:

„Cieszę się mogąc przesłać Panu Ministrowi mój „Teatr” w rewanżu za cennego Uniłowskiego, łącząc wyrazy wdzięczności za okazaną mi przychylność; na „teatrowaniu” na użytek ludzi sceny i filmu *Zygmunt August* (jw. Londyn 1986): „Panu Rektorowi w życzliwe ręce ten zapis obywatelskiego zamyslenia nad polskimi grobami... Z wyrazami serdecznego szacunku” (11 września 1986), na tomie prozy *Gość* (jw. Londyn 1987): „Panu Ministrowi Bolesławowi Faronowi, którego życzliwość wzbudziła w Krakowie zainteresowanie moją twórczością, przesyłam *Gościa*, tę prozę wychyloną w przyszłość... Łączę wyrazy serdecznego szacunku” (6 kwietnia 1988). W roku 1992 przysłał mi z Brukseli wydaną w Lublinie (1991) książkę Stanisława Barcia *Marian Pankowski. Poeta – prozaik – dramaturg* z następującymi słowami: „Panu Profesorowi, poloniście, tę książkę polonisty... o polonistcie... z wyrazami szczerzego szacunku.” Oto pozostałe dedykacje: na wyborze poezji, wydanych w Lublinie z przedmową Stanisława Barcia *Zielnik złotych śniegów* (1993) „Panu Profesorowi Bolesławowi Faronowi z wyrazami szczerzego szacunku...” (22 kwietnia

1933), na prozie *Putto* (Wydawnictwo Softpress, Poznań 1994): „Drogiemu Panu Bolesławowi Faronowi tę baśń o zakazanych poziomkach podrzuca M. Pankowski (14 kwietnia 1995), na *Teatrowaniu pod świętym laurem* „Otrzymały nareszcie (!) egzemplarz autorski, posyłam, Panu Profesorowi moje *Teatrowanie*, a z nim wyrazy serdecznego szacunku” (12 marca 1996) i na wyborze utworów dramatycznych *Książd Helena* (WL 1996): „Drogi Państwu dziękuję za przybycie na przedstawienie, panu Profesorowi za cenny udział w dyskusji... Łączę wyrazy szacunku” (18 grudnia 1996). Wspomniane tutaj przedstawienie to sztuka Mariana Pankowskiego *Ręce na szyję zarzucić* wystawiona gościnnie w Teatrze Starym przez Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, po której odbyła się rozmowa na temat twórczości autora.

Przytoczyłem parę przykładów dedykacji pisarza, gdyż wiele one mówią o ich autorze. Otóż oprócz wspomnianej już wcześniej elegancji autora, wyrażonej w zwrotach grzecznościowych rozpoczynających i kończących wypowiedź, zawierały one zwykle klucz do interpretacji dzieła, sugerowały jego odczytanie, interpretację: „zapis zamyślenia nad polskimi grobami” (*Zygmunt August*), „baśń o zakazanych poziomkach” (*Putto*). Zwraca też uwagę staranność języka tych wypowiedzi, troska o to, by nie były one banalne, wyszukany dobór słów, czy swoista ich gra: „poloniście, tę książkę polonisty... o poloniście...” Piotr Marecki w książce *Nam wieczna w polszczyźnie rozróżba! Marian Pankowski mówi* (Korporacja Ha!art 2011), przypomina, iż pisarz traktował tę czynność bardzo poważnie. Po dokonaniu wpisu na książce wstawał i głośno odczytywał tekst dedykacji. Działo się to podczas licznych spotkań autorskich.

Kiedy w maju 1994 roku zjawiłem się w Brukseli jako stypendysta Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (Fundacja TEMPUS), pierwszy telefon po przyjeździe do stolicy Belgii wykonałem właśnie do profesora Pankowskiego. Po jak zwykle szarmanckim powitaniu zaprosił mnie na obiad do luksusowej restauracji niedaleko Grand Place, jednego z najładniejszych placów w Europie. „Obiad z Profesorem to nie tylko konsumpcja w potocznym rozumieniu tego słowa – napisałem później w szkicu *Spotkania z Marianem Pankowskim* – to prawdziwa uczta duchowa. Rozmawialiśmy zatem o Gombrowiczu, Miłoszu, Herlingu-Grudzińskim, o najnowszej twórczości mojego gospodarza, o sytuacji polonistów na uniwersytecie w Brukseli. Na temat pisarstwa na emigracji prof. Pankowski wypowiada się dość sceptycznie. Wiele cierpkich słów dostaje się nawet autorowi *Ferdydurke*. Pisarz zachęca mnie do lektury opublikowanego niedawno w Polsce dramatu *Książd Helena*. Przeczytałem. Teraz wiem, dlaczego życzliwa Pankowskiemu scena Kalambur we Wrocławiu nie może go

wystawić, wiem też, że będzie to przynajmniej dzisiaj trudne do zrealizowania w innych polskich teatrach. Sztuka jest na nasze warunki zbyt śmiała” (...z podróży. Kraków 2007, s.198).

Rozmowa była długa. Mój gospodarz wspominał o tłumaczeniach z języka polskiego na francuski, o trudnościach w przekładzie poezji. Od czasu do czasu wracał do wspomnień o swoim debiucie we lwowskich „Sygnałach” (wiersz *Czytam w zieleni*), do rozpoczętych na Uniwersytecie Jagiellońskim studiów polonistycznych z Karolem Wojtyłą i Wojciechem Żukrowskim, które brutalnie przerwała wojna, do udziału w walkach obronnych we wrześniu 1939 roku, do obozowych przeżyć w Auschwitz, Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen, do pierwszych trudnych dni w Belgii. Podczas tej rozmowy zrodziła się idea spotkania autorskiego Mariana Pankowskiego z krakowskimi nauczycielami, by zainspirować jego twórczością środowisko pedagogów. Odbyło się ono 13 października 1994 w Krakowie w siedzibie Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego. Wzięła w nim udział liczna grupa polonistów również z sąsiednich miast. Twórczość i opowieść o życiu autora *Smagłej swobody* wywołały wśród obecnych duże wrażenie, padały liczne pytania m.in. o literaturę emigracyjną, o życie na obczyźnie, o źródła języka pisarza. Niejako uzupełnieniem, rozwinięciem treści wieczoru był wywiad, jakiego udzielił Pankowski Józefowi Baranowi. Tekst pt. *Trudna wolność* drukowała „Gazeta Krakowska” w Magazynie „Od piątku do piątku” 21 października, tydzień po spotkaniu.

Parę myśli z tej rozmowy warto dzisiaj po latach przypomnieć. Na pytanie skąd wynika jedność jego polskiego języka, mimo wieloletniego przebywania na obczyźnie, pisarz przypomina, że od 1949 roku jest lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Wolnym Uniwersytecie w Brukseli. Współczesną polszczyznę poznawał podczas licznych wyjazdów do Polski, do rodzinnego Sanoka, z listów matki: „Polszczyzna jest moją najważniejszą ojczyzną” – wyznaje. Wyjaśnia też słowo wolny w nazwie uczelni: „Od wszelkich nacisków: państwa, kościoła”. Powstał w 1834 po odzyskaniu przez Belgię niepodległości jako alternatywa do uniwersytetów papieskich i katolickich”. Sceptycznie odnosi się do Polskiej emigracji, jej patriotycznych rytuałów: „Na szczęście – mówi – dość wcześnie jako pisarz pojąłem, że nie chcę być powtarzaczem historii, śpiewającym stare pieśni nad starymi pomnikami lecz odstępą od dogmatów, co oczywiście nie pomogło mi w układaniu dobrych stosunków z emigracją polską, zarówno w Belgii, jak i na Zachodzie”. Pankowski jako pierwszy pisarz emigracji pojawił się w Polsce, mimo że współpracował wówczas z „Kulturą” paryską. Nie wywołało to entuzjazmu. u nas uważano go za „chytrą wtyczkę Zachodu”, podejrzany był też w Belgii. Na jego opowieści o tym, co zobaczył

w Polsce, kręcili głowami: „Mieli swój wyimaginowany obraz pokrzywdzonej Polski i nie zamierzali z niego zrezygnować, żeby nie stracić szlachetnej motywacji.” Zwraca uwagę na swoją literacką odrębność, na podejmowanie tematów, jakich nie ma w martyłologiczno-patriotycznej literaturze emigracyjnej, a mianowicie o człowieku zmysłowym, cielesnym, ziemskim, o kobiecie i mężczyźnie. „o człowieku bez bandaży i munduru powstańczego.” Od postawy romantycznej pomógł mu zdystansować się prof. Backvis, który traktował mesjanizm Mickiewicza z ironią. Mówi o swojej laickiej postawie, wskazując na Auschwitz, gdzie definitywnie stracił wiarę.

„– A ja tam straciłem wszystkie złudzenia co do Boga, ludzi, człowieka i nic na to nie poradzę. Potem z trudem odbudowałem w swoim życiu i pisarstwie trudną wiarę, ale tylko w człowieka”. Mamy też inne wyznanie: „Muszę robić wszystko, żeby jak najetyczniej, najmoralniej przeżyć ten kawałek życia, powiedzmy do setki i dawać temu świadectwo jak najprawdziwszym tekstem, jak najprawdziwszą mową, no i po polsku.”

Są to – jak widać – mocne, jednoznaczne wyznania. Pankowski miał wówczas siedemdziesiąt pięć lat. Planowanej setki nie dożył, zmarł – jak wspomniałem – w wieku czterdziestu dwóch lat.

Na zakończenie rozmowy, kiedy Baran komentuje jego sądy słowami: „odnosi się Pan krytycznie do tradycji katolickiej, która – Pana zdaniem – deformuje obraz człowieka i sprowadza go do funkcji marionetki i podmiotu. Równocześnie krytycznie odnosi się Pan do zachodnioeuropejskiej symetrii kartezyjskich ogrodów. Trudna ta Pana wolność, Panie Profesorze...”

– Pankowski odpowiada:

„– Nie jestem nauczycielem narodu, jestem pisarzem wywrotowym, który dąży do odkrycia wielu prawd o człowieku zmysłowym i metafizycznym, wpisanym między tę nędną, żmudną ziemię, a puste niebo. Nie znajdzie Pan u mnie łatwej nadziei...”

Marian Pankowski (ur. 9 listopada 1919 w Sanoku, zm. 3 kwietnia 2011 w Brukseli) – polski poeta, prozaik, dramaturg, krytyk literacki i tłumacz.

W 1938 roku rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, które przerwał wybuch II wojny światowej. Brał udział w kampanii wrześniowej, później należał do Związku Walki Zbrojnej. W 1942 roku został aresztowany przez gestapo, był więźniem Auschwitz, Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen. Po wojnie osiadł w Belgii, gdzie ukończył studia slawistyczne, otrzymał obywatelstwo belgijskie i pracował jako wykładowca współczesnej literatury polskiej oraz lektor języka polskiego na Université Libre de Bruxelles.

Jako poeta debiutował w 1938 roku wierszem „Czytanie w zieleni”, ogłoszonym na łamach lwowskiego lewicowego pisma „Sygnały”.

Zamyślenia

Chodźcie z nami,
dziś nie biją!

A bili, jak choćby w tym wielkim marszu protestacyjnym od podkrakowskich błoni do Nowej Huty po spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II. Trwał stan wojenny, więc niby mieli prawo (-). Spacyfikowany pochód rozsypał się gdzieś w okolicach Hotelu Francuskiego. Nie było nam lekko myśleć, że jutro będzie tak samo jak dziś. Nie zawsze, kiedy jest źle, ludzie wychodzą na ulice. Zwłaszcza, kiedy śpią snem sprawiedliwych. Obudź się Polsko – ten marsz miał właśnie na celu narodową pobudkę.

KAZIMIERZ IWOSSE

Obywatelskie nieposłuszeństwo, to stara jak świat tradycja, która w wielu przypadkach obalała rządy. Warszawski marsz był protestem pokojowym. Oto blisko pół miliona Polaków w ten sobotni, wrześniowy dzień, odkryło w sobie gotowość do powiedzenia stanowczego: NIE! Nasz największy poeta romantyczny wzywał ongiś: „Mierz siły na zamiary, nie zamiary według sił”. W dobie niewoli nie lękano się marzeń i nierealnych planów, nawet w sferach obywatelskich o myśleniu przyziemnym. Polski romantyzm pozwalał wierzyć w to, że można i należy osiągać rzeczy pozornie niemożliwe. Niestety, ale epoka tzw. pracy organicznej potępiła ów niewątpliwie polityczny romantyzm. Walenie głową w mur, beznadziejne ofiary, to było coś sprzecznego z rozumem oraz doświadczeniem i mogło nieść szkody narodowi, głosiły hasła pracy organicznej. Później, w epoce pozytywizmu, w tej mierze zapanowała atmosfera beznadziejności. I tu widzimy, jak historia lubi się powtarzać. Transformacja ustrojowa jaką przeżywamy od 1989 roku w sposób radykalny ograniczyła wszelkie ideały prowadząc naród na drogę dzikiego kapitalizmu, gdzie priorytetem stało się gromadzenie materialnych dóbr. Swoisty wyścig szczurów niby to zaspokajający dobro ogólne,

zamykając stopniowo usta głosicielom innych, narodowych wartości. Ich degradacja była z góry zaplanowana i urzeczywistniana w każdej dziedzinie życia społecznego. Sami rozgrzeszaliśmy się w naszych dążeniach życiowych i robimy to nadal przy udziale różnej maści nauczycieli i korepetytorów, tych upartyjnionych w filisterskich sytuacjach. Uśpiono nas bez pomocy eteru, zwyczajnie, tak po prostu niejako z zastosowaniem szkiełka i oka, czyli narzuconych narodowi mędrców różnej proveniencji, których sami przez pomyłkę wybraliśmy na swoje nieszczęście.

Czy Polska się obudziła, czy grożąc palcem, poszła spać dalej? Każdy obywatel w tej narzuconej nam rzeczywistości, rzeczywistości szarej i coraz biedniejszej, musi przeżyć ten okres odrzucenia i wykluczenia społecznego. Marsz w Warszawie, to nie było wydarzenie li tylko towarzyskie. Zebrali się, poszemrali trochę, pomachali flagami i poszli spać. Słychać taki opis poprzez rechot arogancji władzy, jej wzgardy. To minie. Z własnego narodowego doświadczenia wiemy, że są wysiłki, które na pewien czas odsuwają osiągnięcie mezultatów i jak mówił Jean Guittou – okresy snu przynoszą rozwiązania. Byłem w Warszawie i widziałem to wielkie orzeźwienie podobne do szumu morza huczącego u stóp wysokiej skarpy. Tężejący opór, manifestacja Narodu przeciwko dziejącemu się złu. Poczucie siły w cywilizowanej, pokojowej formie protestu. I skala tych protestów rośnie i nie da się tego zablokować. To sygnał ostrzegawczy i nie należy bagatelizować tego zjawiska. Stałem w pobliżu siedziby Związku Literatów Polskich. Tłum warszawiaków zasłaniał widok na siedzących przy stolikach pod parasolami tych innych warszawiaków, być może literatów, którzy wybrali spokój tego wrześniowego popołudnia. Odpoczywająca namiętność twórcza przy szklanicy piwa. Jakby chcieli tam nauczyć demonstrantów sztuki niewysilania się... Skupiali całą swoją uwagę na swe wnętrza duchowe, aby tym łatwiej zarzucić potem twórczą myśl w głąb. Rozmach ich literackiej wyobraźni trafi nas celnie, kiedy wydadzą kolejną książkę, tomik wierszy... O czym? O niczym, do diabła! Wy, którzy przemaszerowaliście całą Warszawę aż na Plac Zamkowy – czyście oszaleli, aby być tak nieszczęśliwymi w tej naszej kochanej Ojczyźnie? Nic się nie stało, Polacy! Zaśpiewajcie razem z nami przy piwie! Złowieszczą monotonią także przy mijanych stolikach kawiarnianych na Nowym Świecie. Dobrze ułożeni hipsterzy, żule, pewnie i prowokatorzy z wczoraj, tym razem mieli wystraszone miny, szarpiąc się na łańcuchu własnej zależności od władzy. Wewnętrznie jakby rozradowani, wyglądali ponuro. Jeden z poetów miał swego czasu obawę, pisząc: „Gdy spotykam człowieka, chciałbym mu podać rękę. I boję się gestu; może pomyślałby on, że chcę go uderzyć... Chodźcie z nami, dziś nie biją...”

Kazimierz Iwosse

Modlitwa

Halinie Mikołajskiej

Świat ten w odmęcie, w tyglach zło się miesza,
W koronach możnych złudne błyski płoną –
Umęczony naród – kornie głowy zwiesza,
Matko, przyjmij nas pod Twoją obronę!

Maryjo, Królowo Polski, Niebieska Pani,
Okryj nas płaszczem Matczynej opieki –
Na Twoje bliźny, które lud pamięta
Bądź z nami. Matko – pozostań na wieki.

Tyś wieszczów krynicą mądrych słów,
W ojczystej mowie Twoje jaśniejące piętno –
Spraw, aby nad nami rozbłysło znów,
Przeczyste słońce – prawda, dobro i piękno.

Ty – w stronę światła drogę, wskażesz nam,
W ciemności, bywa – bez wiary błądzącym –
Ty nam otworzysz rygle świętych bram,
Sprawisz, by róg rycerzom zagrał śpiącym.

Janusz Orlikowski

Wyznanie

nie wierzę że wierzę
i nie mogę stwierdzić odwrotnie

wierzę że nie wierzę
ateizm?

ktoś kiedyś skradł mi rozum
i nie pytał czy mogę
życie przestało być logiczne
jakby kiedyś było

przypadek?
on nic nie wyjaśnia
słowo pozbawione krwi
i kości na których by ciało
zawisło bez pytania o prawdę

ktoś kiedyś skradł mi rozum
ale go nie odebrał

czytam księgi
i doświadczam dni
jakby można dalej od siebie
mam ku temu powody

ten ptak który to opowiada
wesoła małpa w zoo
ten człowiek który kłęczy i ufa



BĄDŹ CO BĄDŹ



Tajemnica istnienia

Maksymilian Niebylski należał do tego rodzaju ludzi, którym na samą myśl o nieuniknionej śmierci odechciewa się żyć. Perspektywa nicości, której złowieszcze przejawy wypełniały mu życie, rzecz można, po same brzegi, tak bardzo go krępowała, że nie był zdolny do działań, uczuć tudzież przemyśleń, którymi normalni ludzie zagłuszają zew śmierci.

IGOR WIECZOREK

Był niezbyt inteligentny, tchórzliwy, próżny, bezwolny, wyzuty z wszelkich ambicji i pożałowania godny. Miał jednak pewną zaletę, czy – ściślej rzecz biorąc – wadę, która w jego mniemaniu była jakąś zaletą i dzięki której mógł znosić swoje psychiczne kalectwo. Był niesłuchanie ciekawy prawdziwej natury nicości. Sam fakt istnienia nicości, czy raczej jej nieistnienia, nie tylko go obezwładniał, ale również podniecał i w pewnym sensie zachwycił. Nicość była wyzwaniem, którego nie chciał odrzucić – być może po prostu dlatego, że jego żalosna osoba była dziurawa, czy przeniknięta nicością, a może raczej dlatego, że nic tak bardzo jak nicość nie wpływa na sposób myślenia nowoczesnego człowieka. Faktem jest, że Niebylski był oczarowany nicością, a jego jedynym pragnieniem było jej zrozumienie. Zrozumieć coś, czego nie ma, a jednak w tym swoim niebyciu jest niezaprzeczalnie realne, nie można, rzecz jasna, bez trudu, a zdaniem większości ludzi (w tym wielu poważnych badaczy) jest to wręcz niemożliwe.

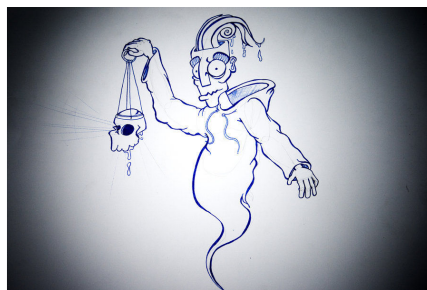
Nicość wymyka się myśli, bo według jednych badaczy jest tylko zwykłą iluzją, a według innych badaczy jest pewnym sposo-

bem istnienia materii, bądź samej myśli. Chociaż nieszczęsny Niebylski nie był zbyt odcytany, to jednak nie obce mu były poglądy owych badaczy i wcale się z nimi nie zgadzał.

Złowieszcze przejawy nicości, które, jak już wspomniałem, wypełniały mu życie, rzecz można, po same brzegi, były zbyt oczywiste, głupie i niematerialne, by mógł je uznać za fikcję, czy pewien sposób istnienia materii, bądź samej myśli. Gotów był raczej przypuszczać, że nicość jest jakimś ukrytym wymiarem rzeczywistości, a jeśli wierzył w możliwość poznania tego wymiaru, to przede wszystkim dlatego, że nie mógł pogodzić się z faktem, iż ludzkie władze poznawcze mogą być ograniczone przez coś niepojmowalnego. Poza tym odnosił wrażenie, że w samym słowie „ukryty” pobrzmiewa już obietnica jakiegoś wielkiego odkrycia.

Zamiast wypełniać swe życie realną, konkretną treścią, ten ekscentryczny nieborak ją ogałacał je z treści. Już w wieku dwudziestu lat przestał spotykać się z ludźmi, bo sądził, że sens wszelkich związków sprowadza się zawsze do walki o prawo do panowania jednego człowieka nad drugim, a on nie umie panować, ani być opanowany. Mniej więcej w tym samym czasie zaniechał wszelkiego udziału w światach kultury, nauki, religii, sportu i sztuki. Twierdził, że sens owych światów zasadza się w gruncie rzeczy na ukrywaniu nicości, a nie na jej odkrywaniu, jak gdyby to dziwne zjawisko powinno być jeszcze dziwniejsze i jeszcze głębiej ukryte.

Wiódł życie tępego odludka, pogrążył się w swej indolencji i umarłby pewnie za młodu, gdyby ciekawość nicości nie postawiła go z czasem w obliczu pewnego Hindusa, który przemierzał kosmos w poszukiwaniu ofiary. Ten niegodziwy myśliwy przedstawił się Niebylskiemu jako znany indolog, który we wczesnej młodości również był indolentny, ale dzięki lekturze indologicznych rozpraw pokonał zjadliwą niemoc, został wybitnym uczonym i – co szczególnie ciekawe – przejrzał nicość na wylot.



Przez blisko dwadzieścia lat oczarowany Niebylski słuchał jego zapewnień o tym, że nicość jest czysta, nieważka, przejrzysta, bezkształtna, a jednak ze wszech miar prawdziwa i niesłuchanie istotna. Ta pusta wykładnia nicości i próżna osoba Hindusa tworzyły przedziwny związek, w którym i

jedna i druga stwarzały się i niszczyły, więziły i uwalniały, jawiły się jako realne i nierealne zarazem, a jednocześnie na przemian.

Zawiły, niejasny związek Hindusa i jego uroień nie był czymś określonym, ani autonomicznym. Nie był też samym Hindusem, zespołem jego uroień, ani – tym bardziej – nicością – przynajmniej nie taką nicością, którą jego spojrzenie przeszływo na wylot. To było coś całkiem innego i bardzo zaraźliwego, bo Maksymilian Niebylski doszedł nagle do wniosku, że tak, jak w słowie „ukryty” pobrzmiewa już obietnica jakiegoś wielkiego odkrycia, tak w samym nazwisku „Niebylski” czai się nieobecność człowieka we własnej osobie. I wcale się nie pomylił, bo wkrótce po prostu zniknął. Niestety, nikt nie zna sensu tej niezrozumiałej historii, ponieważ jej główny bohater nigdy się nie urodził, nie żył, ani nie umarł.



Tadeusz Konecki

Ćma

kokon; tkanina neuronów
pod sufitem czaszki
motyl w zawieszeniu
niebieskich pomarańczy

prostuje i łamie siebie
powtórnie, poczwórnie
z gęstwiny włókien
z synapsy na synapsę

w ucieczce przed żółcią słońca
w pogoni za chabrem gwiazd
ponad kosmos i w nim
centrum kosmosu się ćmi

Daniel Czepiński

* * *

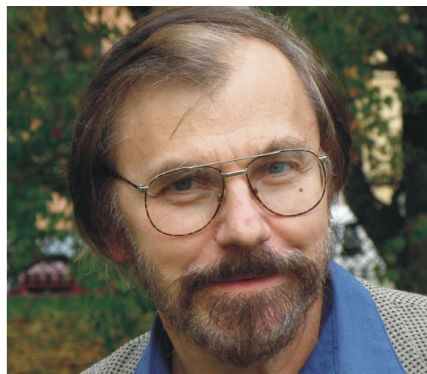
jesienną zadumę
czuć chłodem
budzonymi kominami

koncertami melancholii
tęsknoty
wspomnień ojczyzny

zamieraniem
zamyśleniem
zasypianiem

czuć jesień

Listy do Pani A. (52)



Cyrk i teatr

Droga Pani!

Gdy zaczęliśmy sezon warsztatami na Słupieckiej poczułem, że to już jesień w pełni. Po wakacyjnej przerwie spotkaliśmy się w tym samym gronie, pod opieką znanymi skrzydłami Janeczki Pytki, znakomitej kierowniczką naszego klubu.

Zostałem też zaproszony do prowadzenia innych jeszcze warsztatów i czegoś w rodzaju „salonu literackiego” na Mokotowie. Mam nadzieję, że wyrośnie z tego druga Cieszyńska. Wspominałem Pani kiedyś o moim Salonie Literackim na Cieszyńskiej, w którym obok warsztatów prowadziłem wieczory poezji. Trwało to do momentu, kiedy fundacja, która to firmowała, nie okazała się „krzakiem”, przestała opłacać lokal, z którego w konsekwencji została wyrzucona, wraz z moim Salonem. Teraz będzie zapewne inaczej, bo kluby kultury będące w gestii dzielnic są instytucjami – przynajmniej do tej pory – pewnymi.

Dosyć długo trwało inauguracyjne spotkanie na Woronicza, bo tam właśnie będzie moja druga placówka. Na początek zrobiliśmy same warsztaty, na które przyszło kilkanaście osób. W przyszłości są przewidziane spotkania i dyskusje – wszystko tak, jak zaplanowałem. Będziemy się spotykać cyklicznie w każdą drugą sobotę miesiąca. Potraktowałem te zajęcia sondażowo. Okazało się, że wszystkim odpowiada mój sposób prowadzenia, a przynajmniej nikt nie protestował.

Byłem surowy, ale zarazem starałem się być „dobrotliwy”. Pojawili się przecież uczestnicy, których dotąd nie znałem, więc też musiałem powściągać swoją naturę kpiarza, żeby ich nie porażać. Co innego Słupiecka. Tamtych moich „uczniów” znam od lat, więc porozumiewamy się prawie bez słów, a oni w lot chwytają to, co chcę im przekazać, często za pomocą żartu. Tych nowych muszę dopiero oswoić.

Poezja poezją, a życie życiem. Krysia Konecka napisała mi, że zmarł Jurij Zawhorodnyj, ukraiński poeta, którego dobrze znałem, bo przyjeżdżał i na Jesień Galicyjską, na Warszawską, i na poznański Listopad. Bardzo sympatyczny, dowcipny i... pijący. Dobrze mówił po polsku. Pamiętam jak kiedyś w Poznaniu podczas jakie-

goś poetycko-muzycznego koncertu konferansjerka nagle zwróciła się do siedzącego w pierwszym rzędzie Jurija:

„Dlaczego pan jest taki smutny?” Na to Jurij: „Ja nie jestem smutny. Ja jestem trzeźwy”.

Brakowało nam teraz Jurija na Galicji, jego humoru, ciepła, wierszy. W ostatnią festiwalową sobotę rano ksiądz-poeta Wacek Buryła odprawił mszę za zmarłych poetów, którzy bywali w Kąsnej. Wspominaliśmy też Jurija.

W południe poszliśmy z wizytą do burmistrza Ciężkowic. W pewnym momencie zadzwonił telefon Aldony Borowicz. Wyszła, po dłuższej chwili wróciła poruszona. To była wiadomość o śmierci Romka Śliwonika. Niestety, wykruszają się najwybitniejsi. Kto wie, czy nie ku radości młodych, którzy uważają, że starsi poeci powinni iść na odstrzał. Ale i oni będą kiedyś „starsi”.

Festiwal Galicyjski jak zawsze był świetny. Zwiedzaliśmy przy okazji Skalmierz. Zaprosił wszystkich poetów do siebie proboszcz, ks. Fatyga. Uroczy człowiek, nic z prymitywnego katabasa. Oprowdzał nas po kolegiacie, potem zaprosił na herbatę i świetne ciasto. Burmistrz Skalmierza – człowiek wielkiej kultury, znający literaturę i rozumiejący poetów. To wielka niespodzianka. A zarazem jakaś nadzieja, że dzięki takim ludziom kultura nie zginie.

Pojechaliśmy z Krysia Konecką moim samochodem do miejscowości Krempachy, koło Nowego Targu na spotkanie do szkoły. Co za widoki! Lasy pokrywające góry miały wszelkie odcienie zieleni, brązów, żółci. A ponad tym wszystkim, w przejrzystym powietrzu, na błękitnym tle nieba widać było monumentalne, pokryte śniegiem, szczyty Tatr. Coś niesamowitego!

Przy okazji zwiedziliśmy w pobliżu Łopusznej muzeum ks. Tischnera. Wzruszające. Zwłaszcza karteczki pisane tuż pod koniec życia, kiedy już nie mógł mówić. Były tam również jego książki, trochę fotografii, kilka przedmiotów codziennego użytku – kubek, dzbanuszek... Oto jak człowiek wyprzedza swoje rzeczy. Pokazano nam krótki film z jego wypowiedziami. Wspomniały akcent tej wzruszającej „wizyty”!

To była najdłuższa nasza festiwalowa prawda. Świetnie pilotowała mnie z otwartym atlasem Krysia Konecka. Czułem również Pani obecność, która tak mi pomagała, zarówno w prowadzeniu spotkań, jak i w podróży.

Wróciliśmy do Warszawy po festiwalu, jak zwykle, trasą sentymentalną. Krysia Konecka trochę źle się czuła więc pojechała pociągiem z Zawiercia do Warszawy. Zostaliśmy z Aldoną. Połaziliśmy po Zawierciu, podeszliśmy pod dom, w którym kiedyś mieszkałem, a potem do samochodu, i pojechaliśmy do Pilicy. Po spacerze obiad „U Ryśka”, a potem na cmentarz do Irządź. Odwiedziliśmy też po drodze dwór mojej babki w Wygiełzowie. Smutny dom, nie ma tam już śladów dawnej świetności, może tylko poza kilkoma drzewami starej alei prowadzącej do ganku.

Zaraz po powrocie pojechałem do Kielc na promocję poematu Eli Musiał pt. „Na zdjęciu wciąż żyjemy”. Znakomity utwór! I dałem temu

wyraz w swoim wystąpieniu. Tytuł poematu jest znamieny. Przecież zdjęcie jest śladem naszej ulotnej obecności na tym świecie. Trwalszym od nas samych, powielanym w wielu konfiguracjach, wersjach, sytuacjach. Może być również zapisem naszej kultury, sztuki, filozofii. Jest obrazem. Jest przypomnieniem. Nie tylko papierowym, materialnym; jest obrazem i przypomnieniem odcisniętym w naszej wyobraźni. W osobliwy sposób przekazywanym następnym pokoleniom. Można powiedzieć, że fotografia stara się wykroczyć poza śmierć, ocalić przed nią swój cały ładunek. To głęboki, wielowarstwowy poemat.

Staszek Nyczak zakwaterował mnie w hotelu „Dąbrowa”. Poznałem jego właściciela, pana Marka, niezwykle sympatycznego i gościnnego człowieka, miłośnika literatury. Nocowałem w hotelu, bo mieszkająca w Kielcach moja kuzynka, u której się zwykle zatrzymywałem, rok tylko starsza ode mnie, nagle umarła w końcu czerwca. Nic o tym nie wiedząc dzwoniłem do niej na imieniny Anny, a telefon nie odpowiadał. Ponaieważ próby kilkakrotnie, w różnych terminach. Ponieważ były one wciąż bezskuteczne, zatelefonowałem do jej siostry. Nawiasem mówiąc ostatnio rozmawiałem z nią ponad czterdzieści lat temu... I wtedy dopiero dowiedziałem się o śmierci Anki Borlickiej.

Po śniadaniu wracałem do Warszawy. Dobra nawierzchnia i piękna pogoda zachęcały do szybkiej jazdy. Ale kiedy zbliżałem się do stu czterdziestu na godzinę, słyszałem niemal realnie Pani głos: „proszę natychmiast zwolnić!” Zwalniałem posłusznie.

Te wszystkie zdarzenia dawały mi asumpt do metafizyczno-egzystencjalnych rozmyślań o nietrwałości wszystkiego na tym świecie, o miłości w wiekach konwenansu i swoiście pojętego „obowiązku”, które nie pozwalają jej rozwinąć skrzydeł; o miłości trudnej, a przecież jakoś spełnionej, co zakrawa na swoisty paradoks... I o wielu innych rzeczach składających się na sensy i bezsensy życia.

A może i sensy? Byłem ostatnio na promocji książki Liliany Arkuszewskiej „Czy było warto?”. Autorka opisała własne perypetie emigracyjne. Rzecz bardzo ciekawa, dobrze napisana. Przedstawia życie polskiej emigracji w Kanadzie. Promocja ta odbywała się w kawiarni „Bibeloty” przy ulicy Willowej. Kawiarnię tę prowadzi państwo Kaniewscy, miłośnicy literatury. I właśnie tam, w tym uroczym, magicznym miejscu będę prowadził cykliczne spotkania pod nazwą „Poezja na Willowej”. Już zaplanowany jest pierwszy inauguracyjny wieczór z Andrzejem Tchórzewskim. Będę Panią wypatrywał wśród słuchaczy.

I to niechaj będzie szczyptą optymizmu, że jednak kultura wysoka też jest potrzebna. Ostatecznie zawsze tak było, że cyrk istniał obok ekskluzywnego teatru. Cieszymy się zatem.

Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania



WJP i inne...

Warszawska Jesień Poezji odbyła się już po raz 41., ale po raz pierwszy poza Warszawą, poza Domem Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Ogólna mizero finansowa nie pozwoliła na to, aby w milionowym mieście zorganizować ten, z wielkimi tradycjami, festiwal literatury. To nie pierwszy raz, kiedy najważniejsze instytucje stolicy, zarządzające finansami na kulturę powiedziały, że nie będzie żadnych pieniędzy na Warszawską Jesień Poezji...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Tegoroczna Warszawska Jesień Poezji w tym całym swoim nieszcześciu miała i trochę szczęści. Dzięki temu, że niektórzy członkowie Związku Literatów Polskich są także działaczami kulturalnymi i pasjonatami. Bez nich nie byłoby tej imprezy. Miłosz Kamil Manasterski z Łomianek i Jerzy Jankowski z Żyrardowa zebrali w sobie tyle siły, która pozwoliła im na działania znacznie wykraczające poza to, co robią na co dzień... To dzięki ich wielkiemu zaangażowaniu i operatywności doszło do spotkań poetów – najpierw w Żyrardowie, a następnie w Łomiankach. Nie należy także zapominać, że gdyby nie odpowiednie podejście samorządów lokalnych Żyrardowa i Łomianek, festiwalu by po prostu nie było...

Inna formuła Warszawskiej Jesieni spowodowała, że w tym roku nie było tak wielu zaproszonych gości. Miało to swoje dobre strony. W mniejszym gronie można bardziej się integrować, a przecież na tego typu imprezach głównie o to chodzi. Zbliżanie się ludzi do siebie, w dzisiejszych czasach winno być jedną z najważniejszych naszych powinności, a w sytuacji, kiedy tak mało rozmawiamy ze sobą, jest wręcz pierwszą potrzebą. Tak też się stało i w Żyrardowie, i Ło-

miankach.

Literatura jest najważniejsza, ale nie oszukujmy się, bez tego dodatkowego motywatora, jakim są trwające, niekiedy do rana, przesympatyczne nocne rozmowy poetów, nie byłoby środowiska literackiego. Ktoś mógłby zadać – zresztą skądinąd – słuszne pytanie: czy to środowisko dzisiaj w ogóle funkcjonuje? Kiedy spojrzysz się na literacką mapę Polski, to rzeczywiście można powiedzieć, że imprez literackich jest bez liku. I coraz więcej takich, które pomimo że odbywają się w małych ośrodkach, to swoją rangą, merytorycznym przygotowaniem i zwykłym profesjonalizmem znacznie przewyższają to, co dzieje się w dużych ośrodkach kulturalnych. Tak naprawdę nie ma w Polsce jednego, środowiska literackiego z prawdziwego zdarzenia, takiego, co dbałoby o interesy wszystkich swoich członków. ZLP i SPP są skłócone (choć ostatnio zauważam, że coraz mniej – przycisnęła ich finansowa niemoc), a w ostatnich czasach w Polsce natworzyło się setki grup wzajemnej adoracji, skupionej wokół określonych imprez, festiwali, konkursów czy ośrodków kultury, organizujących te wydarzenia. Z jednej strony jest to całkiem pozytywne, ale niesie to za sobą także niebezpieczeństwo jeszcze większego rozbitcia. Niedawno spierałem się z moim starszym kolegą po piórze, który uparcie twierdził, że przecież zawsze tak było... Otóż, nie zawsze. Od zawsze to była walka pokoleniowa, gdzie młodzi walczyli z tradycją dziadów i ojców, ale nie było tak wielkiego podziału już na enklawy, na przysiółki literackie... Teraz wystarczy dziesięć zaprzyjaźnionych osób – których łączy butelka wódki, wypijana podczas wzajemnego uwielbiania swojej twórczości – a już niektórzy krytycy mówią o narodzinach czegoś wielkiego, o środowisku, który nadaje pozostałym właściwy kierunek rozwoju literatury. To zafałszowany obraz tego, co naprawdę dzieje się w literackich „przysiółkach”.



Warszawska Jesień Poezji – Żyrardów

Środowisko jest rozproszone, podzielone, a większość pism literackich drukuje tak naprawdę tylko „swoich”. Brakuje jednego, dużego tygodnika kulturalnego, który bez zmywania obrazu i uprzedzeń, publikowałby **dobre teksty literackie**, a nie autorów...

Nie wiem, co musi się w Polsce stać, żeby coś ruszyło ku lepszemu? Kiedy słyszę rozmowę ministra kultury, mówiącego o ogromnych nakładach na rozwój kultury, to nie wiem, czy

mam się śmiać, czy może lepiej będzie usiąść cichutko pod starą wierzbą i zacząć płakać? Argumenty, że tyle wyłożono na remonty teatrów, filharmonii, muzeów tak naprawdę zatrażają. Widocznie pan minister zapomniał, że kulturę zaczyna się budować na dole, że jeśli nie będziemy mieli tzw. „kulturalnych dołów”, nie będzie kultury wysokiego lotu. To kultura środowiskowa, podwórkowa, ludowa warunkuje właściwy dalszy rozwój społeczny. Od niej się wszystko zaczyna, a jak ma się rozwijać, skoro pan minister woli dawać na elity...



Foto: Jaga Walter

Warszawska Jesień Poezji – Żyrardów

Zorganizowanie takiego festiwalu, jak Warszawska Jesień Poezji, to wielkie przedsięwzięcie, głównie finansowe. A kiedy nie ma pieniędzy, albo o nie bardzo trudno, to trzeba uruchomić dodatkowe możliwości. W Żyrardowie i Łomiankach udało się to, ponieważ Manasterskiemu i Jankowskiemu chciało się. Ogromny trud, jaki włożyli w przygotowanie festiwalu opłacił się. Największą zaletą tych spotkań było to, że po raz pierwszy od wielu lat zorganizowano kilka ważnych paneli dyskusyjnych i trzeba przyznać, że większość z nich wspaniale spełniła oczekiwania nie tylko prowadzących, ale i samych uczestników. Nie mówię o spotkaniach autorskich, antologii, koncertach, turniejach poetyckich itp. To jest już normą.

Tegoroczne spotkania w ramach Warszawskiej Jesieni Poezji pokazały, że to jest chyba właściwy kierunek, w jakim powinni poruszać się organizatorzy tego typu imprez. Myślę, że Warszawska Jesień Poezji w dotychczasowej formule nie będzie miała racji bytu, chyba, że coś się gwałtownie zmieni...

Co będzie dalej? Nie wiem, ale jest nadzieja, że może w przyszłości, z tych tegorocznych cząstek, urodzi się coś naprawdę ważnego, nie tylko dla samych poetów i lokalnych środowisk...



Warszawska Jesień Poezji – Łomianki

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (26)

(FRAGMENTY)



Jakby był pasażerem, który co prawda podróżuje czwartą klasą, lecz znalazł się w podrzędnej klasie przez pomyłkę, bo należy mu się – rzecz jasna – bilet na pierwszą klasę i ma maniery pasażera pierwszej klasy. W związku z tym często (zbyt często) manifestuje niezadowolenie i krytycyzm wobec tego, co widzi, co mu serwują do jedzenia i co go zaskakuje nowością i innością. Pierwszą reakcją bywa często święte oburzenie, że nie jest tak, jak się przyzwyczaił. Rodak, szczególnie na wycieczce po Kresach, przyjmuje postawę oburzonego polskiego pana, patrzącego z góry, z perspektywy sienkiewiczowskiej na motłoch ruski i ukraiński, na brud, bałagan, biurokrację. Na Zachodzie natomiast kurczy się w środku siebie, ale na zewnątrz nadrabia miną, żeby jakoś udowodnić sobie i innym, że jest na odpowiednim poziomie i by zatuszować niepewność i „niedojrzałość”. W porównaniu z naturalnym Holendrem, Czechem, Szwedem, który jest, jaki jest i zgadza się na siebie całym swoim zachowaniem, Polak sprawia wrażenie kogoś nieautentycznego, sztucznego, zamazanego w środku, wręcz płynnego i zagubionego w płynnych przestrzeniach.

Jesteśmy jak wahadło, które ma za dużo przestrzeni. Rozpięci między anielską duszą a diabelskim rubasznym czerepem ciała, pomiędzy szlachetnym idealizmem a przyziemną praktyką bytowania, sferą marzeń a sferą nikłych spełnień... Rozpięci między wielkimi słowami, kazaniem, przemówieniami, które same nam się cudownie wygłaszają jak Polska długa i szeroka, a zgrzebną polską realnością – sami już nie wiemy, jacy jesteśmy naprawdę. Polak nie godzi się na siebie takiego, jakim jest, bo nie wie, kim naprawdę jest. Jakby jego deklamacja życia nie zgadzała się z życiem, które skrzeszy.

U pragmatycznych i naturalnych, niere-spektujących na przykład tytułomani Holendrów (mam zięcia Holendra, więc trochę się

mu przyglądam), podobnie jak u akceptujących siebie bez reszty Amerykanów, to wahadło wewnętrzne nie ma tak wiele przestrzeni do wahania się. Tymczasem w nas odległości od marzenia do realizacji wydają się nie do przeskoczenia. Pojawia się więc jakiś rodzaj szlachetnego samozakłamania, wynikający z faktu, że „czyny sobie a słowa sobie”. Stąd nienaturalność, puszenie się, udawanie, że się jest kim innym, niż się jest, stały się narodowym stylem. W poezji ma to odbicie w wysokim, patetycznym stylu romantyków, ale przegląda się też w znakomitych – choć często profesorskich i namaszczonech – wierszach Miłosza czy nawet Herberta. Przyznaję, że o wiele bliższy mi potoczny styl Białoszewskiego, który w *Wywodzie* *jestemu* mówi: „trzeba się zgodzić na siebie, jakim się jest” i jak diabeł święconej wody wystrzega się owej polskiej zarazy – kaznodziejskiego stylu.

Przy tych rozważaniach nie sposób pominąć faktu, iż po wojnie został wymuszony przez komunę mezalians dwu kultur: szlacheckiej – z różnego typu postawami „zastaw się a postaw się”, honornościami, grammi pozorów, nobilitacją próżniactwa, ale i bohaterstwa, tak doskonale sparodiowanymi przez Gombrowicza – z kulturą ludową, chłopską, cierpliwą, kmiecią, niewolniczą... Słowem, Kordiana sparzono z chamem i co się narodziło? Właśnie Polak, w którego głowie „tańczą dwa Polaki”. Właśnie miesza-niec o dwu duszach, który publicznie „rżnie” pana, po kryjomu zaś „przelicza pod stołem dulary” i ma w istocie w głębokim poważaniu deklamowaną moralistykę malującą się na jego licu.

Nie należy wreszcie zapominać o moralistyce katolickiej, którą jesteśmy na wskroś przesiąknięci, co nie oznacza, że naprawdę stosujemy się do niej i że jest w Polsce mniej przestępstw, korupcji, zła, niż np. w indyferentnej religijnie Holandii czy Szwecji. I że ludzie u nas lepsi, grzeczniejsi, bardziej etyczni, bo im tak nakazuje Bóg i proboszcz...

Bóg pod kluczem?

Bóg zamknięty pod kluczem w kościele? Tylko na mszy? Wydzielany przez księży jak komunikanty?

Nie, jakoś mi się w to nie chce wierzyć! Bóg jest wszędzie i nigdzie, jest Wolnością zataczającą kręgi nad światem, jest energią wchodzącą we wszystkie szczeliny bytu ożywionego i nieożywionego, jest tym co możliwe i niemożliwe, jest w Pięknie, w nieskończonych przestworach, w falujących w słońcu czerwcowych zbożach. Jest w zapachach mojego ogrodu w Borzęcinie, jest w promieniach rozlanych nad zieloną równiną, jest spoiwem w skali mikro i w skali makro.

Jest.

Czasem, gdy jadę na rowerze po borzęckich drogach i drózkach, czuję się natchniony poczuć, że staję się Jednością Ze Wszystkim Co Mnie Otacza i Przenika. Że jestem

wreszcie na Jego Obraz i Podobieństwo – o wiele bardziej niż w kościele, gdzie usiłuję się nie nudzić na mszy, w tłumie drobinek ludzkich, mrówek bożych, w ciasnocie mrocznych murów...

Pochwała roweru „free spirit”

Jestem podłączony
Pod wysokie napięcie
Złotych pasikoników pogody

Tworzę układ zamknięty
Ze Słońcem
Którego krzyk niesie się
Po niebie i łące

Jestem podłączony
Do obłoków
Zapachów zbóż
Dzikich róż
Niepoliczalnej trawy
Jastrzębia kołującego
Ponad borami

Otwierają się
W sercu
Strona za stroną
Krajobrazy
Dojrzejawą we mnie

Żyta do ścięcia
Przelewa się kipi zatapia
Czerwcową pełnią upału
tuż przed ofiarowaniem (...)

Bóg boży się
W zbożach i brzożach
Cyka w pasikonikach
Pełno go wszędzie
na ziemi w powietrzu na niebie (...)

Znów na Madejowej. Tym razem wybrał się w Gorce z przyjaciółmi, m.in. z liczącym sobie już około osiemdziesiątki Leszkiem Czuchajowskim, który przyleciał ze Stanów. Jest fenomenem. Utrzymuje dalej fantastyczną kondycję fizyczną i intelektualną. Wydaje tomiki poetyckie, wyklada chemię na uniwersytecie w Idaho, chodzi po górach, nie stęknął, choćby go zabolalo. Okaz zdrowia. Ale na to swoje zdrowie pracuje ciężko. Cztery razy w tygodniu chodzi na siłownię, dwa razy ćwiczy gimnastykę (rozciąganie mięśni) pod okiem instruktorki.

Letnia niedziela

Idąc na jubileusz 50-lecia kapłaństwa księdza Tadeusza Jani, odkrywam w całej krasie złotej pogody ulicę Tyniecką za Mostem Dębnickim.

Uczta dla oczu, tylko jak ją opisać?

cdn.

Kaprys, który poszukuje prawdy

Tomik **Joanny Rzodkiewicz** – to przykład typowej poezji kobiecej, choć już emancypowanej. Poetka zebrała w nim wiersze, za którymi kryją się wręcz fotograficzne obrazy naszej społecznej rzeczywistości z jednej strony, z drugiej zaś pomieściła tu studia zdjęte żywcem ze świata przyrody, niekoniecznie dane w bezpośrednim doświadczeniu, ale często zapośredniczone jej obrazami medialnymi. Tytuł tego zbioru – to „Dwoisty kaprys” i chyba właściwie oddaje naturę tej kobiecej poezji. W świecie stanowiącym mozaikę istnienia, tego naturalnego i tworzonego przez człowieka, mimowolnie może pokusić się o estetyczny kaprys, jeśli już wie, że rzeczywistość codzienna jest dla życia bezwzględna i nieublagana. W wierszu tytułowym mamy do czynienia oto z taką sytuacją, opisaną przez poetkę: „dwa różowe korale / uczipione ramion / strudzonej gałązki / jarzą się / na spoielonym tle / wciąż niegotowe / by upadać // czy to jesienny kolor / czy owocowe ły / skraplają się / poza ramy fotografii / na moją kartkę”.

Rzodkiewicz nie ukrywa, że jej wiersze poetyzują całą gamę rzeczywistości i śledzą zarówno dobro i zło tkwiące w człowieku, jego życiu społecznym, ale również w amoralnej przyrodzie – przejawy piękna i brzydoty, które łączy ona z sobą w wielkiej metamorfizie niekończącej się różnorodności istnienia. W wierszu pt. „Głęboko ukryte” stara się tę przemianę ukazać na prostym przykładzie życia pięknego motyla. Píše więc: „piękny / wybiera tylko najpiękniejsze kwiat / pozuje najpiękniej // nienawidzi snów z dzieciństwa // pod osłoną nocy / zlatuje na terapię / dla brzydkich gąsienic”.

W podobnym, przewrotnie refleksyjnym, ogląda samotne drzewo, promieniającą biel, a potem czerwoną jarzębinę, ale i posępny, tajemniczy las, rozwodzi się nad ciągłością i przemijalnością życia, by wabić wiosną lato, a latem jesień.

W równie emocjonalnym klimacie zostały tu zamieszczone wiersze poświęcone pamięci ojca, rodzinie, wnuczkowi, ale i liryczno-egzystencjalnemu światu Anny Kajtochowej, której poezja jest dla Rzodkiewicz cenna i ważna w jej artystycznej biografii i stara się pozostawać w jej klimacie. W jednym wierszu, bez tytułu, tak oto odnosi się do jej poezji: „rozdawała garściami / najcenniejsze perły / choć niejedna / utraciła blask / toczy się w szarość / ostrych kamieni / (...). Innymi motywami, które inspirują autorkę, a nie rzadko budzą jej gniew i bunt, są obrazy żywcem wzięte ze współczesnego życia miasta, gdzie szerzy się głupota, chamstwo, agresja, a nawet zwykłe barbarzyństwo. Boli ją również cierpienie innych ludzi doświadczonych przez los, których życie jest jedną wielką traumą. Píše o tym, bo wie, że mimo chęci

niewiele może tu pomóc, a więc nazywa rzeczy po imieniu, obrazując je w treściach wierszy z nadzieją, że może ktoś zna jakieś egzystencjalne rozwiązanie tych wołających o pomoc nawet do nieba tych przypadków tragicznego doświadczenia życiowego ludzi. W wierszu pt. „Błąd” sucho sprawozdaje „(...) nie rozróżnia / nieznanych krain adaptacji / więc zakładają mu obroże / bije skrzydłami / o smycz / zbyt krótką // chłopiec / z syndromem FAS”.

Wiersze krakowskiej poetki są pisane na granicy świata społecznego, uwikłanego w mechanizmy przyrody; poetka jednak widząc je i ukazując, chce, by ludzie do świata poezji zaglądali również i z tej często przykryj, i bolesnej perspektywy. Warto więc sięgnąć po ten emocjonalnie zaangażowany tomik, ciepły emocjonalnie, szukający dróg budowy mostów przyjaźni między ludźmi w świecie, który staje się często bardzo obcy.

PROF. IGNACY S. FIUT

Joanna Rzodkiewicz, „Dwoisty kaprys”. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Fotografie: Leszek Lisiecki i Autorka. Wydawnictwo Signo, Kraków 2012, s. 48.

Wędrowki z Kwisaczką

Kiedy byłem dzieckiem, jeździłem bardzo często wraz z rodzicami najpierw autobusem, potem zaś samochodem do dziadków mieszkających w Kotlinie Jeleniogórskiej. W trakcie drogi, która rozciągała się pomiędzy Olszyną a Barcinkiem, moją uwagę przykuwały zawsze strzelista wieża gryfowskiego ratusza, majestatyczne ruiny zamku Gryf, czerwone dachy gryfowskich kamienic oraz kapliczka św. Leopolda. Za każdym razem wymienione obiekty wyglądały inaczej. Raz opływały złocistymi promieniami słonecznymi, kiedy indziej tonęły w morzu mgły, czasami, gdy zachodziło słońce, tłem dla ich wyjątkowych sylwetek było bajecznie kolorowe niebo, a podczas burzy – granatowe chmury. Wrażenia estetyczne potęgował dodatkowy maszyw Izerów. Oglądane obrazy stanowiły niesamowitą podnietę dla mojej dziecięcej wyobraźni. Wystarczała tylko chwila, aby wzbogacić je o rycerzy, rumaki, skarby i inne elementy znane z bajek i baśni. Wtedy, chcąc dowiedzieć się więcej na temat tego, co miałem przed oczyma, zasypywałem rodziców licznymi pytaniami. Niestety, na większość z nich ani mama, ani też tata nie byli w stanie odpowiedzieć. Najwyraźniej nie posiadali oni odpowiedniej wiedzy. Dwadzieścia kilka lat temu nie było również ogólnie dostępnych materiałów, pozwalających taką wiedzę zdobyć. W konsekwencji bardzo długo musiały wystarczyć mi tylko wiedza ogólna i wyobrażenia.

W końcu jednak w księgarniach zaczęły

pojawiać się książki poświęcone dziejom regionu, a wiedza będąca wcześniej wyłącznie domeną naukowców i kilku kolekcjonerów zaczęła przenikać do świadomości lokalnych społeczności. Nadszedł i taki moment, kiedy sam zostałem historykiem regionalistą. W chwili, gdy poznałem zdecydowaną większość polskiej i niemieckiej literatury poświęconej pograniczu Dolnego Śląska i Górnych Łużyc, zrozumiałem, że brakuje prostych prac skierowanych do najmłodszych. Sam jednak z różnych względów nigdy nie odważyłem się napisać nic, co mogłoby wprowadzić dzieci w fascynujący świat minionych wieków. Takiego zadania podjęła się natomiast mieszkanka Gryfowa, **Elżbieta Śnieżkowska-Bielak**. Poetka z ogromnym doświadczeniem pedagogicznym opublikowała w maju tego roku niekonwencjonalny przewodnik dla dzieci pt. „Co bajka opowie o pięknym Gryfowie. Wędrowki z Kwisaczką i Bajką”.

Książka dzieli się na dwie, wyraźnie różniące się od siebie części. Pierwsza, zawierająca bajki, wierszyki, piosenki, ciekawostki, liczne kolorowe ilustracje, fotografie oraz puste miejsca na rysunki przeznaczona jest dla dzieci. Z kolei druga została zredagowana z myślą o rodzicach. Na 18 stronach autorka zmieściła krótkie informacje o gryfowskich zabytkach, szczegółowo opisała bazę noclegową i gastronomiczną Gryfowa i okolic, stworzyła praktyczną skarbnicę informacji o kluczowych imprezach w granicach powiatu lwóweckiego oraz dała interesującą propozycję 11 szlaków rowerowych po gminie Gryfów. Mogłoby się wydawać, że takie połączenie jest sztuczne, tymczasem Śnieżkowska-Bielak znalazła skuteczny sposób na wyjście z sytuacji, którą opisałem kilka zdań wcześniej. Kiedy dziecko, po wysłuchaniu odwołującej się przede wszystkim do jego wyobraźni bajki, zada rodzicowi szczegółowe pytanie, nie będzie musiał on udzielać wymijającej odpowiedzi lub odkładać jej na później, lecz wystarczy, że obróci kilka następnych stron i uzupełni swoją wiedzę. Niewątpliwie jest to jeden z największych walorów omawianej publikacji. Dodatkowo, dzięki podanym na przysłowiowej tacy szlakom turystycznym, rodzic będzie wiedział, jak zabrać dziecko do miejsc przedstawionych w bajkach.

Po lekturze pierwszej części przewodnika nie można nie zauważyć, kto jest najważniejszą postacią bajkowego świata stworzonego przez autorkę. Bóbr Kwisaczek, bo to o nim mowa, przemierza ulice Gryfowa, wędruje doliną Kwisy, dociera w najbardziej niedostępne miejsca oraz spotyka legendarne i prawdziwe postacie z przeszłości po to, aby ukazać dziecku piękno i bogactwo otaczającej go krainy. Kwisaczek w żadnym wypadku nie jest niepoprawnym romantykiem. Wręcz przeciwnie, z jego wędrowek zawsze wypływa wartościowy morał, który musi dawać małym Dolnoślązkom sporo do myślenia.

(Dokończenie na stronie 18)

Wędrówki z Kwisaczkiem

(Dokończenie ze strony 17)

Poprzez postać bobra Kwisaczka zamieszkującego norkę bezpośrednio nad rzeką oraz liczne informacje na temat flory i fauny Kwisy, autorka tomiku czyni wyraźny ukłon w stronę zapomnianej przez nas rzeki. W umiejętny sposób w tok kolejnych bajek wplata rzeczne wątki, uświadamiając młodemu odbiorcy ogromną rolę Kwisy w dziejach nie tylko samego Gryfowa, ale i całego pogranicza Dolnego Śląska i Górnych Łużyc. Mając na uwadze fakt, że z bogactwa Kwisy czerpiemy w chwili obecnej w niewielkim stopniu, że infrastruktura umożliwiająca jej wykorzystanie dla celów turystyki jest w beznadziejnym stanie, a nasza wiedza o tym wyjątkowym cieku wodnym jest niewielka, próba zarażenia dziecięcych serc miłością do rzeki wydaje się być jak najbardziej słuszną i godną pochwały.

Bajki o charakterze regionalnym zawierające sporo informacji historycznych posiadają ogromną wartość poznawczą. Tak naprawdę mogą stanowić pierwszy etap edukacji historycznej dziecka. Kiedy słucha ono ciekawych opowieści na temat miejsc, które odwiedza na co dzień, dużo łatwiej przyswaja wiedzę na ich temat – wiedzę w oparciu, o którą można tłumaczyć mu szereg zjawisk i procesów zachodzących w otaczającym nas świecie. Bajkom autorki omawianego tomiku nie można zarzucić braku walorów edukacyjnych. Posiadają one ich bardzo wiele. Myślę, że ambitniejsi nauczyciele w przedszkolach czy też w szkołach podstawowych z powodzeniem mogą wykorzystywać ten tomik w trakcie prowadzonych przez siebie zajęć. Praktycznie każda z bajek wraz z towarzyszącą jej ikonografią oraz „smakowitymi dodatkami” bez problemu może stać się podstawą do przeprowadzenia lekcji, która utkwi w pamięci uczniów na bardzo długo. Myślę, że każda z powiatowych szkół podstawowych powinna nabyć tą publikację.

Nadzwyczaj ważna w tego rodzaju publikacjach ikonografia została trafnie dobrana. Fakt, że ma ona zróżnicowany charakter i dobrze koresponduje z tekstem, podnosi wartość całej książki. W tym przypadku nie udało się jednak uniknąć powielanego, od lat 20-tych XX w. w regionalnych publikacjach poświęconych okolicom Gryfowa błędu. Na stronie 30 znajduje się miedzioryt autorstwa M. Meriana przedstawiający zamek Greiffenstein. Niestety nie jest to zamek Gryf, lecz naddunajska twierdza nosząca taką samą nazwę. Winę za ten błąd należy jednak złożyć na karb historyków, którzy nie zwrócili dotychczas uwagi na ten błąd, a nie poety, który korzysta z ich prac.

Język bajek jest bardzo prosty, zrozumiały i dynamiczny. Wszystko to sprawia, że dziec-

ko nie będzie miało problemu ze zrozumieniem ich różnorodnej tematyki.

Z zawartością przewodnika zapoznałem się wieczorem 15 lipca. Kiedy następnego dnia o 6 rano zadzwonił budzik i otworzyłem oczy, to najpierw pomyślałem o Kwisaczku. Sytuacja ta z jednej strony rozbawiła mnie, z drugiej jednak przekonała, że bajki Pani Śnieżkowskiej-Bielak mają w sobie to coś, co powoduje, że ich bohaterowie zaczynają żyć w naszej świadomości.

Lekturę tomiku polecam wszystkim mieszkańcom doliny Kwisy bez względu na wiek, zawód i wykształcenie.

ŁUKASZ TEKIELA



Elżbieta Śnieżkowska-Bielak, „Co bajka opowie o Pięknym Gryfowie. Wędrówki z Kwisaczkiem i Bajką”. Przewodnik dla dzieci”. Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Gryfów Śląski 2012.

Radość doskonałości...

*Cierpieć nie jest to gnusnieć,
ale w znanym kierunku
ze świadomością rzeczy walczyć.*

(Z myśli Cypriana Norwida)

Czytając „Zasłużonych dla medycyny” książkę pod red. **Janusza H. Skalskiego** i **Ryszarda W. Gryglewskiego** (ter Media – wydawnictwa medyczne – Poznań 2009) odnoszę wrażenie, że jest zjawiskiem wyjątkowym. Zazwyczaj bywało, że tego rodzaju dzieła powstawały wysiłkiem całych zespołów, wspomaganych przez rady konsultacyjne i przeróżne kapituły.

Redaktorzy potraktowali swoją pracę (ogrom ciężkiej pracy) z prawdziwym namaszczeniem. Praca dla przyszłych pokoleń ma swoje głębokie uzasadnienie. I że „polskość” powinna być ciągle kategorią otwartą. Przychylni nam historycy mówią o nas, że

jesteśmy sercem Europy. Nie zapominajmy, że „zasłużeni” byli wybitnymi indywidualistami – zjednoczeni rzadką wspólną zdolnością intensywnej ekspresji. W ich duszach został wyznaczony horyzont, którego nic nie zdołało wymazać. Zdarzały się jednak sytuacje tragicznych pomyłek, niesprawiedliwych sądów i wielorakich nieporozumień. Byli i tacy, którzy z wielkich olśnień odchodzili w mrok i zapomnienie. Nietzsche napisał: „... jeden człowiek ze swoimi myślami wydaje się szaleńcem, nawet i samemu sobie. Gdzie jest dwóch, zaczyna się mądrość i zdrowie duchowe”.

Biografistyka jest niezbędna, rozbudza zainteresowania przeszłością, uczy kochać historię, zwraca uwagę na wydarzenia i osoby zapomniane – pod tym właśnie względem może oddawać usługi nawet zawodowym badaczom. Dobrze się stało, że biografowie wystrzegali się różnych „uszytwnień” od patosu i emfazy, od schematyzmu w sformułowaniach, przemieniania ludzi w posągi, apodyktycznego orzekania, że nie mieli żadnych wad, nigdy się nie mylili i zawsze byli nieskazitelni. Bohaterowie odległej historii – jak również świadkowie teraźniejszości odnajdują swą człowieczą pełnię niejako w przededniu własnego epilogu, stają się bardziej ludzkiimi z wyroku losu świadomie przeżywanego i łączącego ich w rodzinę człowieczą. Biografie poświadczają jedynie ludzkie możliwości – swój ludzki świat stworzony na własne podobieństwo i w każdym drganiu tego świata, w każdej jego drobinie, odnajduje tylko siebie, ze swoimi bogami, wartościami.

Książkę „Zasłużeni dla medycyny” ofiarował mi profesor Marian Zembala (kiedy to – po operacyjnej rewaskularyzacji mięśnia sercowego trafiłem do Śląskiego Centrum Chorób Serca), którego profesor jest dyrektorem. Godzi się w tym miejscu – ku wszechogarniającej podmiotowości i ludzkiej wspólnoty – wspomnieć profesorów Lecha Polońskiego i Mariusza Gąsiora, którzy są integralną „składnią zabrzańskiego świata”. I przypomnieć znamienne słowa profesora Polońskiego: „ale do Zabrza ludzie zawsze chcą przyjeżdżać i bardzo się z tego cieszymy” – takie słowa pozwalają nieść nadzieję – żywić dobrą wiarę wobec nowej sytuacji „dziejowej”. Najtrudniejszą sztuką w życiu jest posiadanie umiejętności zrozumienia drugiego człowieka. Można oddać śmierć i „współuczestniczyć” z wiecznością jak Goethe.

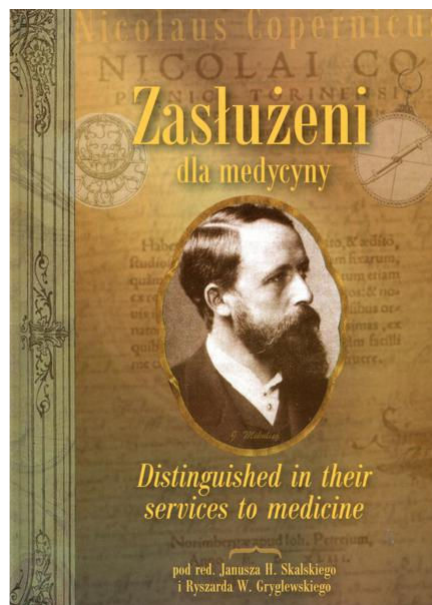
Współczesna literatura jest niemal bez reszty pochłonięta wewnętrznym pejzażem człowieka. Okoliczności „zabrzańskie” jakże podobne były opowiadaniu Iwaszkiewicza: „Pobierali mi krew, robili elektrokardiogram i przeprowadzali jakieś nowoczesne badania. (...) Brała u mnie krew taka mała blondynka, bardzo umiejętnie i miałem wrażenie, że perfekcja jej techniki przy pobieraniu krwi z mojej żyły sprawiła jej taką samą przyjemność, jak wzięcie trudnego pasażu w balladzie

Chopina czy też etiudzie Liszta, radość doskonałości”.

Tym wszystkim, którzy zasiądą do lektury „Zasłużonych” polecam gorąco wprowadzenie zamieszczone tamże. Profesorowie: Marian Zembala, Piotr Andziak i Tadeusz Orłowski napisali: „mamy nadzieję, że niniejsza książka „Zasłużeni dla medycyny. Europejczycy związani z polską ziemią” pomoże nam wszystkim pogłębić znajomość Polski i wiedzę o jej mieszkańcach. Jesteśmy przekonani, że m.in. dzięki lekturze tej publikacji będą Państwo mogli łatwiej dostrzec polską otwartość na międzynarodową współpracę, a także bardziej docenić naszą europejską solidność, innowacyjność i kreatywność”.

Wyjaśnia ono wielce treść książki – ułatwia czytelnikowi jej odbiór, a nade wszystko zrozumienie tego dzieła (wydanego w iście staranny i gustowny sposób).

Książka, choć jest jak podręcznik (pozostają fakty – mocno i wyraźnie zarysowane) to jednak lektura nie tylko dla zainteresowanych tematem. Ale „czyta się”. Bardzo się czyta. Statyczność rekompensuje właśnie „stan aktywności poznawczej”. Takie książki tworzą natychmiastową możliwość znalezienia się zupełnie „gdzie indziej”, tam, gdzie istnienie było sensowne i prawdziwe. Pragnieniem „Zasłużonych” nie było i nie mogło być – przyjęcie „z góry” sekwencji ludzkiego losu. Złożonego z symptomów, gotowego, lecz ukrywającego swą boską istotę świata, a nie zmienianie go i przekształcanie na ludzkie podobieństwo i wyobrażenie.



Droga człowieka prowadzi jednak nieustannie wzwyż – biografie zamieszczone w tej książce przekonują nas, że ta wyżyna jest całkowicie osiągalna. Osobna chwila uwagi należy się wybitnemu urologowi – Samuel Goldflam (1852-1932) który był znawcą sztuki (malarstwo i muzyka). Dzięki jego wsparciu finansowemu rozpoczął karierę światową pianista Artur Rubinstein.

Czterdzieści osiem biografii wybitnych

lekarzy i naukowców – od Witelona (1230-ok. 1314) do Adama Opalskiego (1897-1963). Witelon, który był porównywany z Kopernikiem – jako pierwszy w Europie ogłosił intrygującą teorię światła. Adam Opalski w 1954 roku został profesorem zwyczajnym – „Dużą wartość miały badania Opalskiego z zakresu patologii mózgu”.

Książka „Zasłużeni dla medycyny” jest znakomita, bezprecedensowa, niebywała. Jej czytelnikiem ma być przede wszystkim Polak – ale odwołajmy się do sumień i wrażliwości wszystkich (jest to coś, co powinno być przeczytane). Nie możemy bowiem twierdzić, że udział Polski w europejskiej i światowej rzeczywistości całkiem nie było. Nie mieliśmy wprawdzie dobrego „logo”, trwającego na przekór odmianom politycznym. Ale zależało to w pewnym stopniu od kaprysów mody i aktualnych (wówczas) „idoli” w różnych dziedzinach.

Może sprawa jest szersza i zgoła inna. Ale wróćmy do książki: cel najważniejszy – życie i zdrowie pacjenta. Skoro istotą świata są ludzie – co zatem decyduje o ludzkiej wspólnoty? W jakich znakach artykułuje się idea wspólnoty? Czy są to więzi determinowane przez nieuchronność losu?

Na historię, na sens dziejów spoglądamy (przez pryzmat biografii) z zupełnie innej perspektywy, aniżeli ta, jakiej nauczyły nas podręczniki historii. Możemy spojrzeć na nią jako na dzieje ludzkich cierpień i mimowolnych bohaterstw. Interesująca jest uwaga Einsteina: „Myślę, że jednym z silniejszych bodźców popychających do sztuki lub nauki jest pragnienie odejścia od powszechnego życia z jego bolesnym okrucieństwem i jałową pustką”.

A więc motyw niezaspokojenia, ucieczka od rzeczywistości, chęć samopotwierdzenia się mogą być bodźcem do rozwoju twórczej „fantazji” w sztuce i przede wszystkim w nauce. To dowodzi, do jakiego stopnia ludziom są potrzebne wizje, potrzebne złudzenia.

Oto krótka lista naszych wielkich poprzedników, którzy w sposób szczególnie przyciągnęli moją uwagę (może innych ludzi również). Nazwiska po wielokroć powtarzane – każde bowiem z nich reprezentuje cechy ideowo-moralne – przy czym wartość ich ma charakter narodowy i uniwersalny. Maria Dąbrowska kiedyś napisała o Conradzie: „Uniwersalnemu dorobkowi moralnemu ludzkości musi być podporządkowany każdy, kto chce mieć poczucie, że żyje według honoru oraz godności prawowitego człowieczeństwa”. Myślę, że te nazwiska przyniosą satysfakcję i pobudzą ambicję! Mikołaj Kopernik, Jędrzej Śniadecki, Ludwik Maurycy Hirschfeld, Ludwik Karol Teichman, Wilhelm Ebstein, Robert Koch, Ludwik Rydygier, Józef Pawiński, Odo Feliks Kazimierz Bujwid, Ilois Alzheimer, Antoni Leśniowski, Rudolf Weigl, Ludwik Hirschfeld.

Tym samym odnawia się kontakt współ-

czesnego człowieka z „początkami” ludzkości. Alegorie i symbole pozwalają na połączenie wewnętrznego świata z jądrem wszechświata, poszerzają granice ludzkiego świata, rewolucjonizują go i zmieniają – pozwalają odczytać tajemny szyfr tego wszechświata...

ANDRZEJ GNAROWSKI

„Zasłużeni dla medycyny”. Pod red. Janusza H. Skalskiego i Ryszarda W. Gryglewskiego. „terMedia – wydawnictwo medyczne, Poznań 2009.

Zamknięte Urojenia Olgi Lalić-Krowickiej

W Krośnieńskiej Oficynie Wydawniczej ukazały się w tym roku trzy tomiki poetyckie znanej poetki i tłumaczki – Olgi Lalić-Krowickiej, (zrealizowane przy pomocy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego). Są to: „Zamknięte urojenia”, „Żaba, żaba”, „Mózg”.

Do tomiku poetyckiego „Zamknięte urojenia” napisałam posłowie. Poniżej przytaczam fragmenty mojego tekstu:

„Zamknięte urojenia” Olgi Lalić-Krowickiej czytałam z narastającym zachwytem. W tych wierszach odnajdywałam świat, który jest na co dzień niedostępny.

Wszyscy śnimy, ale najczęściej nie pamiętamy własnych snów. Tylko niektórym z nas udaje się zapamiętać przeżycia z naszych sennych wypraw w nieznanne, a tylko ci z tych nielicznych, którzy mają wielki talent potrafią utrwalić te chwile w formie poetyckiej.

Zaczarowany świat naszych snów, nie zawsze miłych, czasami przerażających...

Jest jeszcze teoria solipsyzmu, mówiąca, że istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający, a rzeczywistość jest zbiorem jego subiektywnych wrażeń.

A więc co się dzieje rzeczywistością, co iluzją, grą wyobraźni? Czy obiekty o których śnimy są od nas zależne? Jakie to ma odniesienie do szeptanek naszych prasłowiańskich wróż, do czasu snu Aborygenów, wreszcie do neoplatonickiej Jedni?

[...] tajemny świat naszych snów... To wszystko w nas jest, pomimo, że pozorna nowoczesność kładzie się zasłoną na tym, co odziedziczyliśmy w genach po naszych przodkach sprzed stuleci i tysiącleci.

Wiersze Olgi Lalić-Krowickiej są jakby zza tej tajemnej zasłony. Poetce udało się zobaczyć więcej niż zwykle bywa nam dane i jest ona tego świadoma.

W wierszu pt. „Gdy miłość kąpie się w przekleństwie iluzji” czytamy:

*tysiące rozważań co do siebie co do ciebie
ponownie myśl kapnęła na sukienkę
fajnie by było gdyby rzeczywistość się śniła*

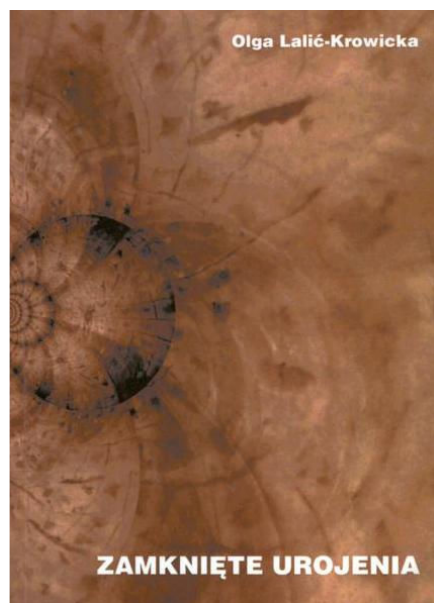
(Dokończenie na stronie 20)

Zamknięte Urojenia Olgi Lalić-Krowickiej

(Dokończenie ze strony 19)

„Zamknięte urojenia” to tomik, w którym myśli, uczucia i sny zostały zamknięte w pięknych inteligentnych wierszach. Dowiemy się z nich wiele nie tylko o przeżyciach autor-ki ale również o sobie.

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA



Olga Lalić-Krowicka, „Zamknięte urojenia (wiersze pisane zimą 2001/2002)”. Krośnieńska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o., Krosno 2012, s. 80.

Anioł w ogrodzie

Właściwie to nie jeden, a całe zastępy aniołów wyfrunęły z wierszy o. Leona Zdzisława Pokorskiego podczas kawowego relaksu z ogrodowymi bywalcami pod stareńką, rozłożystą uleną.

Znakomitego tomu „Anioł nieborak siedzi zasmucony” nie ofiarował mi sam autor, a zaprzyjaźniona artystka malarka Ewa Preisner, która zaprojektowała okładkę, zadbała o oryginalny układ merytoryczny i graficzny publikacji. Opatrzyła ją również boskimi (!) ilustracjami w liczbie jedenastu. Notabene, oglądałam te obrazy wcześniej w jej malar-skiej pracowni, gdzie suszyły się na wolnej ścianie, przyciągały kolorem, subtelnością kreski, lekkością pędzla. I nie tylko z zachwy-
tu nic nie mówiłam, ale z pragnienia, by mieć równie piękną szatę plastyczną w moim tomie, który właśnie usiłuję złożyć. Liryczne impresyjki, bo trudno je niekiedy nazwać impresjami, z uwagi na ich lakoniczną formę, już same w sobie są obrazami skradzionymi naturze w różnych porach roku, a gdyby tak jeszcze otrzymały malarskie tło krakowskiej

artystki, niewątpliwie byłby to najbardziej udany poetycko-malarski mariaż 2012 roku. Więc kiedy delektowaliśmy się na tarasie u Ewy borówkami, popijając poetyczną wodą receptury gospodarza, w której pyszniła się w całej okazałości mięta, zerwana prosto z grządk i ożywczy plaster cytryny, artystka wyczytała z moich oczu to pragnienie. I obie-
cała. Ach, ale chyba zbyt oddaliłam się od Aniołów, które wyfrunęły na ogród tego sierpniowego ranka z tomu o. Leona Zdzisława Pokorskiego, franciszkanina w Prowincji Matki Bożej Anielskiej.

Tak, to niezwykle utalentowany i wszech-stronny twórca: interesuje się teatrem, muzyką, malarstwem, tworzy teksty piosenek, wydaje płyty autorskie, współpracuje z Pol-skim Radiem i Telewizją Polską, Mazowiec-kim Teatrem Muzycznym im. Jana Kiepury. I obecnie mieszka w Krakowie. Ze słowa wstępnego Adama Ochwanowskiego, jak również z posłowie ks. Jana Oleszko i Pań-stwa Krystyny i Władysława Ochmanów wynika, iż utwory zawarte w zbiorze „Anioł nieborak siedzi zasmucony” są antologią, wyborem wierszy z trzech książek: „Anioły też płaczą”, „W cieniu skrzydeł”, „W blasku Serafina”.

Poeta „aniolog” – pozwolę sobie tak na-zwać o. Leona Zdzisława Pokorskiego z uwagi na obszerny cykl wierszy poświęcony skrzy-dlatym posłańcom niebios – sprowadza na ziemię całe zastępy nieziemskich istot, obda-rzając je ludzkimi atrybutami.

Dlatego też w trakcie wnikliwej i nader przyjemnej lektury każdy z obecnych na przedpołudniowej kawie szukał w wierszach franciszkanina, i w samym sobie – anioła. Bo Ojciec Leon prostymi słowami zaprasza do rozpoznania tych wysłanników Boga w naszej codzienności, i w nas. Z racji kapłańskiej posługi stara się uświadomić, iż człowiek jest cieniem anioła a anioł jest cieniem człowieka: *jestem aniołem / jestem zawsze tam gdzie anioł być powinien // jak na anioła przystało / mam swój własny cień / cień zupełnie niezwy-
czajny / czasami bywa tak / że ja jestem cie-niem / mojego własnego cienia...* – czytamy w programowym wierszu pt. „Cień anioła”. Należy tu jednak podkreślić, iż poezja Ojca Leona, chociaż ma charakter religijny, daleka jest od dewocyjnego pojmowania zagadnień wiary.

Po uważnym przeczytaniu zbioru, zawie-rającego 56 wierszy, każdy z siedzących pod sędziwą uleną, już zwyczajowo, dzielił się refleksjami i mówił, który z utworów chciałby ze sobą zabrać. Kolega zacytował:

Pytania do anioła

*powiedz mi
bo szukam odpowiedzi*

*jak górę zdobyć
gdy jej nie ma*

ścieżki wyprostować

na głębokiej fali

*morze przelać do wiadra
grzechy policzyć solidnie
choć pamięć zawodzi*

*chwycić ciebie za skrzydła
składając ręce do modlitwy*

*za głosem twoim podążać
na wiarę zgodzić się z intuicją*

Przyjaciółka wyjęła cytaty z wiersza „Jedna chwila”:

*to chyba miłość sprawiła
że nasze rozmowy
sklejamy w skrzydła
że ktoś tu jeszcze jest*

A ja wybrałam adekwatny do sytuacji:

Niepozorne odwiedziny

*anioł przyjechał
niczym nieborak
czereśnie dojrzałe
rozsywał na stole
usiadł w fotelu
zmęczony podróżą
zaczął rozmawiać
opowiadać co było
wspominał czasy
gdy siedział rozkosznie
dotrzymując towarzystwa
wciąż gadał ogólnie
aż wreszcie przyznał się
mimochodem
że zamieszkać tu chce*

Bo autentycznie chciałam, aby skrzydlate istoty, chociażby jedna z nich, zadomowiły się w ogrodzie z widokiem na Chełm. Wszak w „Nędzówce” czuje się ich obecność wszędzie: wiszą na legendarnym, ogromnym liściu palmy, na ścianach, w okienkach; stoją na półkach, parapetach. Jeden, nieco roztańczo-ny, autorstwa Joanny Mędrali, ma nawet twarz gospodarzowi. Chyba dobrze się tu czują, bo chatka zaciszna, obrosnięta winogronem. Więc jeśli zdomowią się w obejściu, będzie chciało się tu wracać jeszcze częściej i sma-kować skrzydlate słowa. Zwłaszcza, że Myśle-nice kojarzą mi się zawsze z niezapomnianym festiwalem, organizowanym w latach 1998-2003 przez ówczesnego dyrektora Myślenickiego Domu Kultury - Jana Koczwarę. Ten niepowtarzalny festiwal pt. „Anioły” miał 5 edycji i był jedyną taką imprezą w Polsce i jedną z nielicznych w Europie. Oprócz kon-certów, wystaw, projekcji, odczytów, organi-zowana była Noc Poetów - Noc Bardów. Prawie cały literacki Kraków tu zjeżdżał, choć czytanie wierszy ciągnęło się długo w noc. Po recytacji „anielskich” utworów gospodarze imprezy obdarowywali nas niezwyklej urody aniołami, wystruganymi z drewna przez tutejszych artystów. Do dziś cała gromadka stoi w saloniku mojego krakowskiego miesz-kania.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci (73)



Właściwy więc użytek z wolności wymaga tego, by dokonane przez nas wybory móc uznać za wzór postępowania dla każdego przedstawiciela ludzkości. Wolność wywołuje więc poczucie niepokoju, wątpliwości czy dokonano się prawidłowego wyboru. W czasach renesansu odrzucono autorytety urzędowe, co zwiększyło zakres wolności człowieka, ale także stan bezradności. Ponadto wybór moralny wymaga odwagi, której nie pomagają się kształtować w procesach edukacji. Mając rozterki, pomocne stają się autorytety spontanicznie uznane przez siebie. Bywają to osoby żyjące, często znane jedynie wąskiemu gronu. Autorytetami spontanicznie wybranymi stają się także osoby znane z historii kultury, bądź bohaterowie dzieł literackich lub filmów.

W Polsce pod wpływem książki Ericha Fromma „Ucieczki od wolności” funkcjonuje inny podział wolności niż ten o którym była mowa. Mianowicie wyodrębnia się dość powszechnie wolność od czegoś oraz wolność do czegoś. Taka klasyfikacja w małym stopniu przyczynia się, moim zdaniem, do zrozumienia czym jest wolność. Uwolnienie się bowiem od jakichś zależności – czyli wolność od czegoś – nie jest wolnością w pełnym tego słowa znaczeniu. Wolni od czegoś, mogą charakteryzować się pasywnością, czy ostrożnością tak wielką, że pancerz ochronny zwycięża chęć wolności ku czemuś. Człowiek wolny od czegoś ma jedynie zadatki wolności. Twierdząc, że nazwana przez Fromma „wolność ku czemuś” jest integralnym składnikiem wolności. Wolność bowiem powoduje, że wbrew okolicznościom wykraczamy poza czas teraźniejszy, kierowani czymś, czego pragniemy. Obszar wolności powiększa się stosownie do rozbudowanej wyobraźni i marzeń. Te niedostatecznie cenione składniki naszego życia psychicznego – podpowiadają różnorodne sposoby wykorzystywania wolności.

Wolność jest pojęciem wieloznacznym. Każdy z nas nadaje jej swoistą treść. Wspólne dla jednostek zabiegających o własną wolność jest podejmowanie czynów. Wolność nie usypia, nie prowadzi ani do bierności, ani do konformizmu. Wolność wyraża się w poczuciu obowiązku wobec siebie oraz reszcy nie-

znanych sobie ludzi. Niestety, mimo że żyjemy w epoce globalizmu, niewiele spośród nas myśli kategoriami ludzkości. Martin Eden, doktor Judym, czy Siłaczka – by powołać przykłady literackie – byli świadomi własnej wolności i wykorzystali ją, by czynić coś istotnego dla innych. Poczucie wolności nie prowadzi do uwolnienia się od społecznych serwitutów.

Wolność przynosi nieraz poczucie zagubienia. Brakuje drogowskazów. Wolność bywa odczuwana jako swoiste bezdroże. Bywa ciężarem. Pragnienie wolności, wbrew pozorom, nie ma zasięgu powszechnego. Bierność, dążenie do wygody oraz tendencje przystosowawcze, statystycznie ujmując, przeważają nad chęcią nadania wolności wyrazu indywidualnego. Erich Fromm tym faktem objaśnia szeroki oddźwięk idei faszyzmu. Rozmaite odmiany totalitaryzmu, łącznie z religijnym, ograniczają wolność, ale uwalniają człowieka od trudu dokonywania wyborów. Wódz, bądź przywódca duchowy, przejmuje na siebie odpowiedzialność jednostek za ich własne życie oraz wytycza kierunek działań.

Natomiast demokracja zarówno w formie republiki, czy monarchii, gwarantuje każdemu wolność. By stała się ona faktem a nie postulatem, niezbędne stają się prawne gwarancje jednakowej wolności dla każdego, niezależnie od wyznawanego światopoglądu. Niezbędne jest zespolenie wolności z zasadą równości oraz z gwarancjami prawnymi, bez których wolność zbyt często przeradza się w samowolę. Równość w rozmaitych przejawach życia, włącznie z równością materialną, stanowi gwarancję wolności także dla ludzi biednych.

Szczególnie cenionymi, od wieków, obywatelami wolności są wolność religijna, wolność światopoglądowa, wolność twórcza artystów i pisarzy, wolność obyczajowa oraz wolność badań naukowych.

Wartość wolności religijnej stała się szczególnie ceniona po wiekach, w których toczono wojny religijne. Występowały one w średniowieczu, by wspomnieć o wyprawach krzyżowych, jak również w okresie reformacji. Były niezmiernie krwawe. Toczą się do dzisiaj. W myśl poglądów twórców New Age, odpowiedzialność za wojny spada na instytucje religijne. Wojny religijne zakończą się dopiero wówczas, gdy nastąpi kres instytucji wyznaniowych oraz gdy znikną kapłani wszystkich wyznań. Są oni zdaniem przedstawicieli New Age zbędnymi pośrednikami między człowiekiem i wszechmogącym oraz wszechobecnym Bogiem. Warto tu wspomnieć pogląd Kierkegaarda, który twierdził, że mało jest typów religijnych nawet wśród kapłanów i zakonników.

Państwa totalitarne narzucają obywatelom jeden tylko rodzaj światopoglądu, a więc również jeden typ moralności, której zostaje podporządkowane prawo i polityka. Właśnie monizm światopoglądowy wnosi ograniczenia wolności. Z kolei państwa demokratyczne

charakteryzują się pluralizmem światopoglądowym i zarazem pluralizmem teorii moralnych. Prawo – jeżeli ma być zagwarantowana wolność – nie może być wyrazem żadnego systemu moralnego.

Prawo nie powinno być środkiem służącym do umacniania wyznawców jakiegos poglądu moralnego w tymże poglądzie, z lęku przed represjami prawnymi.

Naruszeniem demokracji jest stanowienie prawa, które zniewala wyznawców światopoglądów odmiennych od tego, który reprezentuje grupa sprawująca władzę.

Wrogość zaznaczająca się między wyznawcami rozmaitych poglądów etycznych, szerzej – różnice światopoglądowe, bywają od wieków wykorzystywane dla wzniecania wojen. Motyw zysku bywa utajniany.

W ustroju demokratycznym zarówno w formie republiki, czy monarchii zagwarantowana ma być wolność światopoglądowa. Natomiast państwa totalitarne charakteryzują się narzucaniem obywatelom jednego rodzaju światopoglądu, a więc także określonej moralności. Ten monizm światopoglądowy przynosi ograniczenia wolności. Pluralizm teorii moralnych jest możliwy w ustrojach demokratycznych, o ile w struktury takiego państwa nie wkłada się utajony totalitaryzm. Wolność twórcza artystów i pisarzy spotyka się nieraz z sankcjami karnymi. Podobnie trudności mają w poszczególnych epokach uczeni. W swym dążeniu do poznania prawdy gotowi byli w średniowieczu na restrykcje, bowiem nie przerwali dokonywania sekcji zwłok mimo prawnych zakazów. Obecnie w Polsce trudności napotykają sztuczne zapłodnienia *in vitro*. Pojawiają się w poszczególnych krajach zakazy badań nad klonowaniem, ale ciekawość poznawcza uczonych nie może zostać zatrzymana.

Wolność obyczajowa bywa, że doznaje ograniczeń prawnych. Niedostatek tego rodzaju wolności jest niesprawiedliwy i dokuczliwy dla rozmaitych mniejszości. Restrykcje społeczne, odrzucanie tych, którzy naruszają powszechnie aprobowany rodzaj obyczajowości, bywają szczególnie dotkliwe. Prawne ograniczenia wolności obyczajowej stwarzają pozór niemoralności niektórych obyczajów i ciążą negatywnie na życiu tych, którzy także mają prawo do szczęścia. Stwarzają też pozór, że odstępstwa od obyczajów większości są niemoralne. Nie bierze się bowiem pod uwagę u nas tego, że prawo i moralność są to sfery odmienne.

cdn.

Maria Łazarewska



ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Na kremowym liściu kartki

Z Anielina do Diablina
 niedaleka droga
 starczy jedna no i druga
 oczywiście noga
 but przy bucie to dwa buty
 anioł z diabłem dwie półnuty
 stoją równo obok siebie
 anioł w piekle diabeł w niebie
 co za piękna równowaga
 diabeł w futrze anioł naga
 przecież widać że dziewczuszka
 ma pierożek zamiast różka
 więc oboje piją tokaj
 zamiast kochaj mówią kokaj
 i kokoją się za beczką
 diabeleczek z anioleczką
 a na stołach stoi stałość
 anioł z diabłem tworzą całość
 z Anielina do Diablina
 tam i nazat kokaina
 koka ina ina koka
 tworzą całość po dwóch bokach
 co za piękna równowaga
 tutaj tokaj tam malaga

– Więc jak widać rzecz radosna – powiedziała do nas Wiosna i upuściła na stół kremowy liść kartki zazieleniony mrówkami liter przeczytanego tekstu.

– Droga Wiosno – odezwał się filozof, Pan Nietwór. Na deserowych talerzykach twoich niebieskich, niebiańskich oczu widzę przeskakujące diabełki złotych anielskich pomysłów, których jesteś poetyckim wiosennym źródłem, mimo, że już jest jesień, złota polska jesień. A jesienią Wiosno, jesienią liście słów wierszowieją – powiedział filozof Pan Nietwór i melancholijnie zamilkł.

– A jesienią, Wiosno, jesienią – powtórzył frażę Daniel Spaniel – ludzie myślą o wiosnie, jeśli są marzycielami.

– A więc my wszyscy w salonie mych myśli, myślimy o wiosnie razem z naszym Autorem, którego jeszcze z nami nie ma przy estradowym stole, ponieważ to my jesteśmy marzycielami – marzycielsko brzęącym głosem, to twierdzenie oświadczyła Wiosna i wzięła do swej ręki leżący na stole kremowy liść kartki zazieleniony mrówkami liter.

Co za piękna równowaga, tutaj tokaj, tam malaga, powiedziałem siadając do stołu w salonie mych myśli, a przed każdym z gości rozkwitał pachnący kielich wina upozowany ręką Wiosny.

– Ach, witaj Autorze, dobrze że już jesteś – powiedział filozof Pan Nietwór. Proponuję wznieść toast na powitanie i na cześć naszej Wiosny, która przed chwilą przeczytała nam swój demoniczny poemat o równowadze świata, tworzący zgodną całość, opartą na radykalnych sprzecznościach.

No, to w górę serca! Moi drodzy goście – powiedziałem. Za naszą piękną Wiosnę, dla pełnej równowagi, tym bardziej, że jest jesień, a jesienią liście słów wierszowieją, oderwane od swych autorów, jak powiedział Pan Nietwór, obrazując w ten sposób akt finalny naszej poetyckiej przyrody. W tym momencie podnieśliśmy czerwone tulipany kielichów.

– Na fraszunek dobry trunek – powiedział asystent Daniel Spaniel.

*Grafiowie i grafinie
 szczęście sprzyja wam
 a moje szczęście w winie
 gdy dzban pełen mam*

przypominałem sobie cytat rosyjskiego poety, umieszczony w powieści Konstantego Paustowskiego.

– A ja przypomnę cytat naszego ducha gór z kotliny kłodzkiej, trochę dłuższy niż ten – powiedział Pan Nietwór. Kiedyś w Polanicy Zdroju w salonie mych myśli przy ulicy Cichej, gdy siedzieliśmy na balkonie wdychając woń wiosny i narkotyk gór usłyszałem ów głos poety, głos który mówił. Poeta jest jak krawiec. Poeta jest jak słowny krawiec, który na zamówienie szyje ze słów zdania dla ludzi, aby się rozwijali w kierunku pięknego myślenia i przemyślanego czynu. Zamówienia są zgłaszane przez biuro sztuki. Zamówienia bywają wewnętrzne i zewnętrzne, imienne, anonimowe, indywidualne, zbiorowe, prywatne, publiczne, zaskakujące, oczekiwane, państwowe, kontynentalne, światowe, filozoficzne, międzygwiazdne oraz inne. W pracowni poety szyje się stroje kąpielowe, majtki, biustonosze, piżamy, nocne koszule, pieluszki, dresy i szlafroki. Letnią i zimową odzież, płaszcze, futra, mundury, suknie balowe, suknie ślubne, garnitury, fraki, smokingi, togi rzymskie, królewskie, sędziowskie, adwokackie oraz szaty liturgiczne. Szyje się też sztandary wojskowe, flagi klubowe, narodowe,

kościelne, prowincjonalne – zależnie od potrzeb. Bywają sztywne utwory nietypowe, niekonwencjonalne pod względem materiału, rozmiarów i kalibru. Poeta jest jak krawiec. Poeta jest jak słowny krawiec, który na zamówienie szyje ze słów zdania dla ludzi na każdy co dzień i na różne święta, aby się rozwijali w kierunku pięknego myślenia i przemyślanego zdarzeń. Jednak kiedy zabraknie fantazji, poeta odkłada igłę i zasypia z głową na krawieckim stole. Niedośzli klienci, różnorodni przechodnie i szkolni uczniowie przechodząc obok, czasami powiedzą – popatrzcie tam, o tam, to chyba jest jakiś pomnik śpiącej nimfy albo śpiącego rycerza. Gdzie, gdzie? Tam, o tam!

– A ja go znam – powiedział Daniel Spaniel. Na fraszunek dobry trunek. Tutaj tokaj, tam malaga, wypijmy za naszego maga. I wypiliśmy za naszą piękną Wiosnę, tym bardziej, że jest już jesień.

Ewa Żak

W zaskoczeniu

Przysiadł się do mnie, gdy piłam kawę,
 czarną – bez cukru i mleka.
 W milczeniu długo wpatrywał się we mnie.
 Patrząc bez ustanku nie zamierzał odejść.
 Czytał w moich myślach.
 Niezręczność mych dłoni
 łagodził kroplami pokoju.
 A ja wymijająco unikałam tego,
 o czym nie chcę myśleć.
 Widział me zmagania, bolesne rozterki.
 Wiem, że chciał mi pomóc.
 Przyszedł, by naprawić przekreślone sprawy,
 podnieść moje życie.
 Dziś rano druga filiżanka czekała na Niego.
 I przyszedł, tak jak tego chciałam.

Dla niego

On wyciąga swą dłoń
 kiedy jeszcze mrużę powieki snu
 przesyła mi myśli słoneczno-wiosenne
 moje ulubione

a potem
 kiedy już wkładam buty codzienności
 Jego delikatne
 chmurno-wietrzne pociągnięcie dłoni
 prowadzi moje rozbujane myśli
 w raj zieleni
 tam gdzie drzewa
 są blisko drabiny Jakubowej

mocny błękit tej dłoni
 przemienia moją codzienność
 w niecodziennik

POEZJA

John e'Beckett, „Wysoka kraina / The High Country”. Przełożył: Wojciech Maślarz. Projekt graficzny i zdjęcia: Maliwna Nahorny-Martynowska. Wydawca: Centrum Kultury w Żyrardowie, Żyrardów 2012, s. 64.

„Antologia ...»nad inne droższa«. 41. Warszawskie Jesień Poezji”. Redakcja: Aldona Borowicz. Koordynator: Zbigniew Milewski. Projekt okładki: Anna Bąk. Łomianki 2012, s. 226.

Bogdan Bartnikowski, „Wypalone w pamięci”. Redakcja, opracowanie graficzne: Mirosław Malcharek. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2012, s. 72.

Danuta Bartosz, „Tylko smutek jest wierny / Only sorrow is faithful”. Tłumaczenie: Agnieszka Mąkinia. Projekt okładki: Bronisław Olachowski. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań 2012, s. 100 + płyta CD.

Anna Błachucka, „Piać do podświadomości”. Ilustracje: Jerzy Świątkowski. Projekt okładki: Izabela Nowak. Wstęp i korekta: Zofia Korzeńska. Wydawca: Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”, Oddział Okręgowy w Kielcach, Kielce 2012, s. 100.

Beniamin Maria Bukowski, „Wiązane / Rozwiązane. Wiersze zewsząd pobierane”. Projekt okładki: Beniamin Maria Bukowski. Korekta: Danuta Bartosz. Na okładce: „Buty” Vincenta van Gogha (1888). Seria Wydawnicza „Libra”, nr 32. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań 2012, s. 78.

Kazimierz Burnat, „Podniebienie niebios”. Fotografie: Anna Burnat. Wydawnictwo Eurosystem, Wrocław 2012, s. 72.

Stanisław Chyczyński, „Byłem pomyłką”. Redakcja: Stanisław Chyczyński. Rysunki: Kazimierz Wiśniak. Portret autora: Marek Piekara. Projekt okładki: SJC. Na okładce wykorzystano fragment obrazu Kazimierza Wiśniaka „Pole PGR-u w Słonnem”. Wydawnictwo ANTY, Kraków 2012, s. 36.

Zdzisław Czop, „Ściany”. Wstęp: Leszek Żuliński. Opracowanie graficzne: Filip G.A. Wrocławski. Ilustracje: Lyonel Charles Feninger. Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2012, s. 64.

Marek Czuku, „Facet z szybą”. Redakcja: Piotr Michałowski i Paweł Nowaczyński. Zdjęcie autora: z archiwum autora. Posłowie: Piotr Michałowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria: TABLICE. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 98.

Grażyna Drobek-Bukowska, „Trudna miłość. Wiersze”. Redakcja: Magdalena Reczulska. Okładka i ilustracje: Joanna Małoszczyk. Wydawca: KOM-DRUK-KOMAG sp. z o.o., Racibórz 2012, s. 96.

Maciej F. Fater, „Szeptane marzenia”. Redakcja, rysunki: Maciej F. Fater. Projekt okładki: Natalia Żerko, Maciej F. Fater. Wydawca: P.U.H. „Zeus” Maciej Fater, Ujście 2012, s. 64.

Zbigniew Gordziej, „Piórem po żebrach anatomii”. Zdjęcie autora: Andrzej Przewoźny. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 46. Związek Literatów Polskich, Poznań 2012, s. 56.

Dimitar Hristov, „Równonoc”. Przełożył: Miłosz Kamil Manasterski. Wydawnictwo Książkowe „IBiS” dla Akademii Poezji. Redaktor Serii: Miłosz Kamil Manasterski Warszawa-Łomianki 2012, s. 52.

Jadwiga Mariola Jankowska, „Wiosenne przebudzenia”. Wstęp: Anna Baśnik. Projekt okładki i ilustracje: Lech Lament. Zdjęcie: Jadwiga Mariola Jankowska. Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. Włodzimierza Pietrzaka w Turku, Turek 2012, s. 56.

Jerzy Jankowski, „Śpiewak i cisza”. Wydawca: Młodzieżowe Centrum Kultury w Skierniewicach, Skierniewice 2011, s. 96.

Stefan Jurkowski, „Studnie Andersena”. Redaktor prowadzący: Edyta Peszyńska. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, s. 102.

Regina Kantarska-Koper, „Muzyka moje pragnienie / Music my Desire”. Tłumaczenie na angielski: Anna Mikołajczyk. Ilustracja na okładce: Anna Ralicka-Perkowska. Zdjęcie autorki: Joanna Pisarska. Wydawnictwo BUK, Białystok 2012, s. 56.

Paweł Kuzora, „To to”. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Projekt okładki: Grzegorz Garcarz. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2012, s. 56.

Lech Lament, „Winowajca księżyc”. Wstęp: Anna Baśnik. Projekt okładki i ilustracje: Lech Lament. Zdjęcie: Jadwiga Mariola Jankowska. Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna im. Włodzimierza Pietrzaka w Turku, Turek 2012, s. 70.

Anna Landzwójczak, „Zanim nadejdzie”. Posłowie: Maria Magdalena Pogaj. Projekt okładki: Mariusz Landzwójczak. Akwarele: Wiesław Piechówka. Nakład autorski, Poznań 2012, s. 102.

Adam Lewandowski, „Granice myślenia o... czyli wiersze pisane komórką”. Redakcja: Paweł Kuszczynski. Posłowie: prof. Ignacy S. Fiut. Pomysł okładki: Adrian Wartecki. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 43. Wydawca Związek Literatów Polskich, Poznań 2012, s. 64.

Marek Maj, „Obrzeża i skraje”. Redakcja: Piotr Michałowski i Paweł Nowaczyński. Zdjęcie autora: Marek Podziemski. Posłowie: Piotr Michałowski. Zdjęcia na okładce i w książce: Robert Szyjanowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria: TABLICE. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 66.

Miłosz Kamil Manasterski, „Sepia”. Fotografie: Chroma Stock, Corel X5, archiwum autora. Wydawnictwo Książkowe „IBiS” dla Akademii Poezji. Redaktor Serii: Miłosz Kamil Manasterski Warszawa 2012, s. 54.

Zbigniew Milewski, „Zagrabki”. Fotografie i ilustracje: Anna Milewska. Wydawnictwo Książkowe „IBiS” dla Akademii Poezji. Redaktor Serii: Miłosz Kamil Manasterski, Warszawa 2012, s. 60.

Elżbieta Musiał, „Na zdjęciu wciąż żyjemy”. Projekt okładki oraz ilustracje: Elżbieta Musiał. Posłowie: Leszek Żuliński. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2012, s. 42.

Krzysztof Niewręda, „Popiół”. Redakcja: Piotr

Michałowski i Paweł Nowaczyński. Zdjęcie autora, zdjęcia na okładce i w książce: Dorota Damaschke (na zdjęciach wykorzystano fotografię autora wykonaną przez Izabelę Pajonk). Posłowie: Piotr Michałowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria: TABLICE. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 50.

Ewa Elżbieta Nowakowska, „Merton Linneusz Artaud”. Zdjęcie autorki: Krzysztof Miśkiewicz. Redakcja, projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria: 15 piętnastka. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 70.

Kacper Plusa, „Ze skraju i ze światła”. Redakcja: Piotr Grobliński. Opracowanie graficzne: Paulina Narolewska-Taborowska. Ilustracje: Andrzej Frydrych. Posłowie: Maciej Melecki. Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2012, s. 52.

Joanna Pociask-Karteczka, „Bez dotyku”. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Posłowie: Marzena Dąbrowa-Sztko. Fotografia na okładce: Jerzy Tawłowicz. Zdjęcia wewnętrznej publikacji: Joanna Pociask-Karteczka. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2012, s. 48.

Joanna Rzdokiewicz, Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Fotografie: Leszek Lisiecki. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2012, s. 48.

Zofia Walas, „Diamenty czasu”. Redakcja i korekta: Irena i Stanisław Nyczajowie. Na okładce i wewnątrz malarstwo Norberta Rasińskiego. Wstęp: Stanisław Nyczaj. Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2012, s. 80.

Patryk Zimny, „Przejsie”. Redakcja: Piotr Michałowski i Paweł Nowaczyński. Zdjęcie autora: Justyna Hinz. Posłowie: Piotr Michałowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria: TABLICE. Wydawnictwo FORMA. Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 50.

Kalina Izabela Ziola, „Kwaśne winogrona”. Redakcja i korekta: Stefan Jurkowski. Projekt graficzny okładki: Jerzy Nowak. Na okładce obraz Rozalii Nowak pt. „Letni wiatr”. Zdjęcie autorki: Sandra Dzielička. Ilustracje wewnętrzne: Rozalia Nowak. Wydawnictwo Literackie i Naukowe RADWAN, Tolkmicko 2012, s. 66.

Katarzyna Zmuda-Trzebiatowska, „Na imię mi tęcza”. Opracowanie i projekt okładki: Krystyna Wajda. Rysunki: Joanna Wójcik (Śnieżko). Seria KryWaj. Wydawca: Krystyna Wajda, Koszalin 2012, s. 50.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

„Słownik elit dawnych ziem wschodniej Rzeczypospolitej”. Pod redakcją Wojciecha Piotrowskiego (przy współudziale Marii Obrusznik-Partyki), Łódź-Piotrków 2012, t. 3 (M-S).

„Stefan Szajdak. Poeta autentyczności”. Opracowanie oraz wybór tekstów i dokumentów: Maria Szadkowska i Lech Wojciech Szajdak. Wydawca: Prodruc, Poznań 2012, s. 132 + płyta CD.

[ad]

Anioł w ogrodzie

(Dokończenie ze strony 20)

Zatem poetyckie anioły o. Leona Zdzisława Pokorskiego sfrunęły w odpowiednie miejsce i w odpowiednim czasie. Być może staną się inspiracją do zorganizowania **Ogrodowego Złotu Wierszy**. Na przykład w ostatnim dniu kalendarzowego lata. Już sobie imaginuję: wiersze na drzewach, na słonecznikach, cyniach, sznurach do suszenia prania. I poetycka ulena tkająca dywan z zasłuchanych liści...

Właściwie każdy, kto ma kawałek ogrodu mógłby urządzić w tym dniu podobną ekspozycję. Byłoby to indywidualne a jednakowoż wspólne Ogrodowe Poetyckie Święto Literatów. A kto nie ma ogródka, zatknąłby – zamiast nosić go w sobie – najulubieńszy utwór w skrzynce z kwiatami na balkonie lub nawet w doniczce. Bez dużego nakładu pracy i wciąż brakujących środków finansowych. Na samą myśl, skrzydła rosną.

IRENA KACZMARCZYK



„Sposób, w jaki pojawia się w swoich powieściach, nie jest ani hitchcockowski, ani borge-sowski. Obecność Hitchcocka w jego filmach była rodzajem autorskiej sygnatury: oto ja, Hitchcock, jestem twórcą tej opowieści. Dla odmiany Borges wprowadzał swojego awatara po to, by podkreślić, że jego historie są fikcyjne – mówi Orhan Pamuk w wywiadzie udzielonym Grzegorzowi Jankowiczowi w „Tygodniku Powszechnym”, numer z 4 listopada 2012 roku.

– Wspominałem wcześniej, że opowieść rozwija się dzięki postaciom, które ją współtworzą. Pytanie, co się stanie, gdy wszyscy bohaterowie zginą. Kto dopowie ich historię, kto poprowadzi narrację? Pytanie oto, kto mówi w powieści, jest ważne od czasów Henry’ego Jamesa. Problem ten zajmował również Conrada. Pojawiam się w „Śniegu” kilka razy: w połowie, potem pod koniec, zaraz po śmierci głównego bohatera, a jednak opowieść toczy się dalej, bo musi być ktoś, kto zbierze wszystkie wątki.

W „Nazywam się Czerwień” obok mnie występują również moja matka i brat. Powiedziałem kiedyś żartobliwie, że jest to opowieść z 1591 roku, rozgrywająca się wśród malarzy dworu osmańskiego, w którą wpisałem historię z 1951 roku. Owszem, chciałem napisać o malarzach dworu osmańskiego, chciałem napisać o sztuce, obrazach, miniaturach, psychologii artysty. Dzielę się również wieloma informacjami na temat literatury, a także kultury dworu osmańskiego. Dzieła prerenesansowe, przednowoczesne są ilustracjami do tekstu. W pewnym momencie

zorientowałem się jednak, że powieść, którą piszę, jest nazbyt obiektywna, a przez to traci na sugestywności. Postanowiłem, że wprowadzę do niej postaci z mojego życia, by rozbić ten narracyjny obiektywizm.

Moja obecność w powieści ma także coś z Brechtowskiego efektu deziluzji. W ten sposób wciągam czytelników w pewną grę, mając jednakowoż nadzieję, że potraktują ją poważnie”.

„W »Jednodniówkach« Grass nie wraca wprost do gwałtownej debaty z 2006 roku. wokół przemilczanego przezeń epizodu z powołaniem do Waffen SS pod koniec wojny. Jest natomiast wiersz poświęcony pamięci rumuńsko-niemieckiego poety Oskara Pastiora (1927-2006), który po wojnie był więźniem gułagu, do Republiki Federalnej wyjechał dopiero w 1968 roku. Jako pisarka wiele mu zawdzięcza noblistka Herta Miiller. Po śmierci Pastiora okazało się, że od 1961 roku do wyjazdu z Rumunii był tajnym współpracownikiem Securitate – pisze Adam Krzemiński w „Polityce”, numer 43/2012.

W wierszu »Spóźniony glejt dla Oskara Pastiora« Grass bierze Pastiora w ramiona – »może uda się nam popłakać bez słów«. Nie tyle broni swego rówieśnika, ile wie, co by czuł, gdyby jeszcze żył; obaj byli wychwalani, a potem zjadł szargani. Taki los niemieckiego rocznika 1927 – ostatniego z »nikczemnego pokolenia«.

Do swojej sprawy Grass nie wraca, ale swym adwersarzom dedykuje – na poły rozgoryczony, na poły urażony – wiersz zatytułowany »Moim wrogiom«:

*Pozostańcie mi przychylni,
nawet jeśli wasz zapas nienawiści
pichci się już tylko na małym płomieniu. (...)*

*Bądźcie cierpliwi
pobędę tu jeszcze tylko chwilę
zapewniając wam honoraria i ciepłą izbę.
Dochowajcie wierności takim jak ja,
gdyż bez autorów wam przeżuwaczom
pozostanie jako żarcie tylko sucha trawa
i suchary.*

*Cieszcie się sobą, oklaskujcie siebie
wy, mali mistrzowie tanich złośliwości
złączeni w gildię wspólnych interesów.
W jednej chwili ob smarowujcie to,
co blokowane wątpliwością
powstawało latami.*

*Ach, jak sprytnie
spływa wam to spod palców
podczas gdy mi znowu tężeje atrament.*

Można by wzruszyć ramionami: innym dował, to niech się teraz nie obraża... Jednak ci, którzy Grassa znają lepiej, dobrze wiedzą, jak bardzo dotknęła go kampania prasowa w 2006 roku”.

LECH KONOPIŃSKI FRASZKOPIS Z KONOPI

Polihymnia

Zmień, Polihymnio, swą naturę
i do mnie czasem bliżej przystąp!
Inni twe wdzięki sławią chórem,
a ja – wolałbym być solistą.

Terpsychora

Ty, Terpsychoro, kochasz taniec,
ja kocham bardziej piękne panie.
Więc – póki nie wiem, co podagra –
zatańczę z nimi jak ty zagrasz!

Urania

Wiem, że mi chcesz uchylić nieba!
Już to pojąłem. Słów nie trzeba.
Lecz ja mam nieco inne gusta,
więc wpierw, Uranio, rozchyl usta!

Korespondencja

Śmierć znów posłała za mną list gończy:
„– Termin ważności już się skończył!”
„– Poczekaj, Śmierci! Ja się nie spieszę!”
(-) Twój niepoważny, nieważny Leszek.

Moja wiedza

W erudycji oceanie
już kropelkę znam na pamięć.

Keep smiling!

Nie ma dla szczęścia lepszej przynęty
od buź pogodnych i uśmiechniętych;
lecz szczęście nigdy nawet nie muśnie
tego, któremu z twarzy znikł uśmiech.

Kontra

Wielu rozumnych się nadziało
na ludzką niewyrozumiałość.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik
Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543
e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.